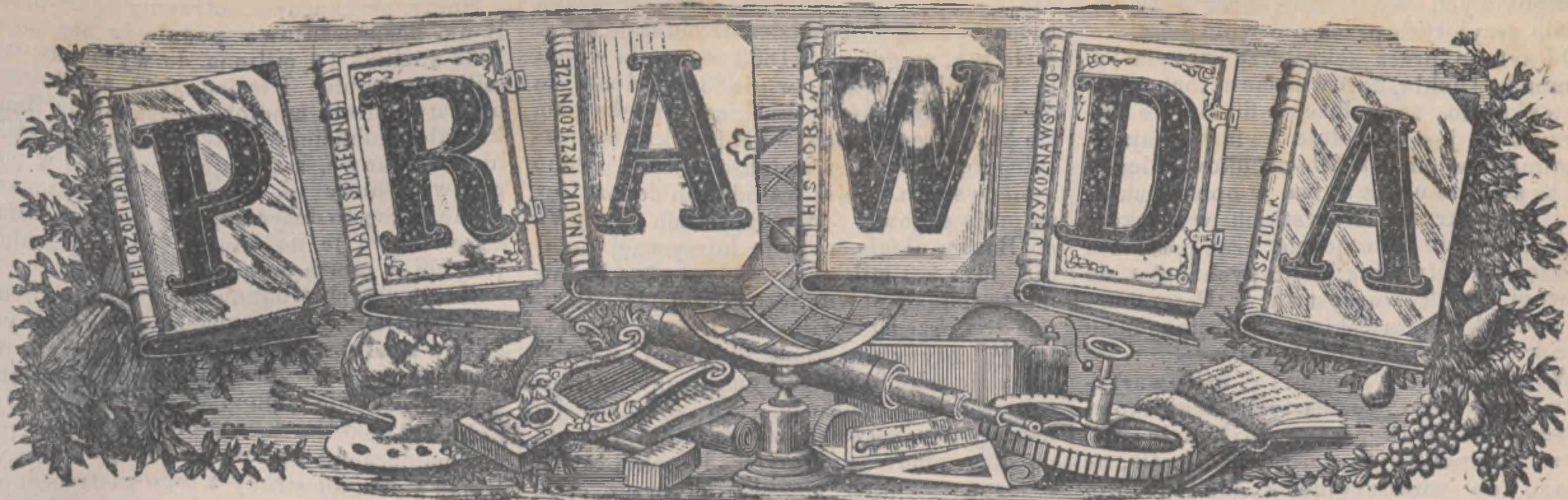
№ 9. Warszawa, dnia 28 (16) Lutego 1885 r. Rok V.



TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

PRENUMERATA „PRAWDY“
(wraz z bezpłatnym dodatkiem)
W Warszawie: miesięcznie kop. **70**, kwartalnie rs. **2**, rocznie rs. **8** z odnoszeniem do domu.
Z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rs. **2 k. 50**, rocznie rs. **10**.

Adres: Zielna Nr. 7-a.

Administracya otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt ważniejszych od godz. 10 do 5.
Redaktor przyjmuje interesantów w czwartki, piątki i soboty od 1 do 3 po południu.
Rękopisy drobne nie zwracają się.

Przedpłatę przyjmują: Administracya **Prawdy** oraz księgarnie, kioski i kantory pism peryodycznych; w Petersburgu w Księgarni H. Glińskiego, Plac Kazański Nr. 7.
Sprzedaż pojedynczych numerów po kop. **20** w Warszawie w Administracyi pisma i w kioskach.
Ogłoszenia wszelkiej treści po kop. 6 za wiersz lub jego miejsce.

CRAS TIBI.

Z powodu spalenia cerkwi w Jakobstadzie i starć o używanie języka rosyjskiego w korespondencyach urzędowych, wypłynęły na wierzch sprawy finlandzka i ostzejska. Właściwie wszelki powód był zbytecznym. Należało się spodziewać, że prędzej czy później konserwatywna prasa rosyjska zaatakuje przywileje niemców nadbałtyckich, którzy istotnie stanowią dziwny wyjątek w organizacyi państwa, usiłującego wszystkie swe części składowe sprowadzić do jednego mianownika. Niedawno — po rewizyi senatora Manasseina — jedna z gazet rosyjsko-niemieckich upewniała, że jej rodacy pragną tylko „żyć w spokoju.“ Nie wątpiliśmy o tem tak, jak wierzymy, że obecna walka bardzo się im nie podoba. A weszła ona w okres bardzo groźny. *Sowrem. Izwiestia*, będące niewątpliwie tłumaczem powszechnych uczuć, woła: „Dawno już czas nałożyć żelazną rękę na mniemane przywileje i na uporczywe nieposłuszeństwo ustawom, które stało się prawem w prowincyach Nadbałtyckich. Należy zrównać te gubernie z innemi, przyłączyć część terytoryum do gubernii petersburskiej, część do pskowskiej i witebskiej; zamknąć przybytek pangermanizmu, uniwersytet dorpacki, pozostawiwszy tam tylko wydział teologiczny z wykładem w języku rosyjskim, a dla innych wydziałów założyć uniwersytet w mieście rosyjskiem — oto są środki konieczne dla poskromienia nieposłuszeństwa i zniweczenia separatyzmu. Natychmiastową zaś odpowiedzią na ostatnie wypadki powinno być ogłoszenie w prowincyach Nadbałtyckich stanu oblężenia.“

Petersb. Wiedomosti uważając na razie za niemożliwe takie „zburzenie całej organizacyi,“ nie mają jednak nic przeciw temu w zasadzie. *Nowosti* żądają mniej, ale przemawiają również w duchu „ściślejszego połączenia.“ „Trzeba uznać—mówią one—że też same, jeżeli nawet nie więcej na uwzględnienie zasługujące przyczyny, które zniewalają finnów do uczenia się języka szwedzkiego, a nawzajem szwedów do uczenia się języka fińskiego, mogą z takąż samą siłą przemawiać za koniecznością uczenia się języka rosyjskiego. Obie narodowości finlandzkie mają stosunki nietylko pomiędzy sobą, ale i po całej Rosyi i z narodem rosyjskim. Kilka zaledwie godzin drogi oddziela ognisko Finlandyi od stolicy rosyjskiej. Naturalnie te stosunki rozszerzają się jeszcze coraz bardziej z każdym dniem i w interesie samych finlandczyków leży znajomość powszechnego języka kraju, z którym są związani najistotniejszymi interesami politycznymi i ekonomicznymi.“

Na to jedna z gazet finlandzkich odśpiewuje w tonie miękkim. „Obecnie w ogólnych zakładach naukowych istnieje obowiązkowa nauka dwóch miejscowych języków: szwedzkiego i fińskiego, dwóch klasycznych i jednego z zachodnio-europejskich. Wymagać jeszcze, aby finlandzka młodzież uczyła się języka rosyjskiego, byłoby to samo, co zamienić finlandczyków w jakieś *papugi*—ze szkodą naturalnie dla rzeczywistej nauki i ogólnych zadań wykształcenia.“

W innych czasach i warunkach zapisalibyśmy tylko ten spór przedmiotowo; dziś pozwolimy sobie zapytać nie łotyszów, nie jakąkolwiek drobną narodowość, zamkniętą w prowincyach nadbałtyckich, ale panów niemców: na jakiej zasadzie domagają się praw dla swego języka, oni, którzy względem ludów słowiańskich znają jedną tylko słuszną zasadę—*ausrotten*, oni, którzy tępią bez miłosierdzia wszelkie żywioły obcoplemienne lub przyklaskują tępieniu, oni, którzy okrucieństwo, gwałt, przemoc podnieśli do godności praw moralnych? Jeżeli w szkołach i urzędach Królestwa polskiego obowiązuje język rosyjski, nie pojmujemy, dlaczego on nie miałby być wprowadzonym do szkół i urzędów prowincyj nadbałtyckich. Zresztą ich gazety niemieckie pochwalały każdą w tym kierunku przeróbkę u nas, czemuż by ona nie miała się im podobać u siebie? Naród, który w swojem państwie głosi hasło zagłady, traci w obcem prawo do przywilejów, zwłaszcza gdy je tylko dla siebie chce zatrzymać. Jeżeli ewangielia ks. Bismarka jest uczciwą w Niemczech, powinna być uczciwą i w Rosyi.

Niedawno gdy paliły się domy i stodoły baronów kurlandzkich, nikczemna *Kölnische Ztng.* widziała polaków, podkradających się z głowniami. Po pożarze cerkwi w Jakobstadzie już polaków nie widzi, chociaż nie dostrzega rąk sobie znajomych. Dziś zarówno ona, jak wszystkie pokrewne jej ladacznice pozywają Rosyę o zamach na to, co „dla każdego narodu jest święte.“ Dla każdego. Sromotna obłuda chce wlać w świat przekonanie, że wyznaje sprawiedliwość po za własną skórą! Niestety, znamy, co w tym języku znaczy: „każdy,“ i dla tego powtarzamy: niemcy rosyjscy powinni się poddać ogólnym ustawom, tem więcej, że je uznali za dobre, nim kolej posłuszeństwa na nich przyszła. Zapomnieli poczciwcy o przysłowiu: *hodie mihi, cras tibi.*

Ważny projekt.

W dniu 12 i 13 b. m. odbyło się ogólne zebranie członków warszawskiego Towarzystwa popierania przemysłu i handlu. Głównym celem posiedzeń było wysłuchanie sprawozdania za rok ubiegły, a pierwszy istnienia instytucyi, z działalności

szczegółowych wydziałów, oraz zatwierdzenie przyjętych przez nie wniosków.

Odczytane przez sekretarza zarządu, p. Edmunda Diehla, sprawozdanie rachunkowe wykazało, że położenie finansowe Towarzystwa jest zupełnie zadawalniające. Pomimo bowiem, iż 79 członków zalegało, jak to zwykle u nas bywa, w opłacie składek, po pokryciu wszystkich wydatków jednorazowych i bieżących, oraz przelaniu ⅓ części wpływu z pobranych opłat do głównej kasy Towarzystwa w Petersburgu, oddział warszawski ma w remanencie na rok bieżący przeszło 500 rs.

Wogóle do d. 1 stycznia r. b. Towarzystwo otrzymało rozmaitych wniosków, dotyczących spraw przemysłu i handlu—64, 16 z nich załatwiono ostatecznie, 48 zaś oddano do rozstrzygnięcia odpowiednim sekcyom. Ponieważ o wszystkich ważniejszych z pomiędzy nich *Prawda* pomieściła już sprawozdanie w nr. 49 z r. z., więc pominiemy je tutaj milczeniem i zajmiemy się jedynie projektem rozszerzenia działalności Banku Polskiego, przedstawionym dopiero po raz pierwszy na zebraniu z d. 13 b. m.

Referat w tej ważnej sprawie opracował p. Stanisław Rotwand i wywiązał się z zadania znakomicie. Za podstawę swych wywodów przyjął on porównanie działalności banku w r. 1863 i 1883. W ciągu tego dwudziestolecia w najważniejszej naszej instytucyi kredytowej zaszły zmiany znaczne, niestety jednakże, po większej części dla niej niekorzystne. I tak np. podczas gdy w r. 1863 oprócz kapitału zakładowego w sumie 8 milionów rubli, który dotąd pozostał bez zmiany, Bank Polski miał prawo wypuszczania 10,000,000 rs. biletów własnych, obecnie przywileju tego nie posiada, a tym sposobem utracił przeszło połowę swego stałego funduszu. Ważny też uszczerbek przyniosło mu rozporządzenie z r. 1877, mocą którego pozwolono, a nawet zalecono rozmaitym instytucyom umieszczać swoje kapitały leżące w rządowych papierach procentowych, dla ułatwienia ich emisyi (pożyczka wschodnia). Niekorzystny wpływ tego rozporządzenia na stan funduszów Banku Polskiego uwidocznia się wyraźnie w tym fakcie, iż podczas gdy dawniej kapitały instytutowe, składane do banku na 3%, a nawet na 2%, wynosiły w ciągu lat 14 przeciętnie po 4½ miliona rocznie, w r. 1883 wysokość ich sumy ograniczyła się do niespełna 3 mil. rubli.

Ważną bardzo rubrykę wpływu gotowizny do Banku stanowią rozmaitego rodzaju depozyta, których suma w ciągu rozpatrywanego dwudziestolecia stale wzrastała tak, że gdy w r. 1863 wynosiła wogóle 8½ milionów rs., w 1883 podniosła się do 16½ milionów skutkiem zwiększenia się kaucyj miejskich, wkładów kas emerytalnych, kas oszczędności itp. Jedno z pierwszych miejsc wśród tych depozytów zajmują sądowe. Wysokość ich wpływu do Banku uległa równie korzystnej zmianie, gdyż z 3 mil. rs. wzrosła do 5. Pomimo to jednak pewną jest rzeczą, iż stosunek ten przedstawiałby się jeszcze o wiele lepiej, gdyby nie stanął był temu na przeszkodzie szkodliwy w tym względzie skutek reformy sądowej. Na zasadzie jej ustawy depozyta sądowe są przyjmowane do kas sądów gminnych i pokojowych i mogą w nich pozostawać przez czas, żadnym przepisem bliżej niekreślony. Taki porządek rzeczy zarówno jest niekorzystny dla publiczności, jak i dla samego rządu. Podług praw rosyjskich bowiem, za urzędników obieralnych odpowiada ciało wyborcze—gmina, miasto itp.—urzędnicy zaś przez rząd mianowani są odpowiedzialni wyłącznie sami za wszelkie swoje czynności i odpowiedzialność tę winni dlatego zabezpieczać kaucyą. Ponieważ u nas sędziowie pokoju wyznaczani są przed rząd, więc ich kaucya stanowi całe zabezpieczenie depozytów sądowych. Otóż gwarancya ta jest często zbyt małą w stosunku do wysokości sum deponowanych i dlatego wielce pożądaną byłoby rzeczą, by sędziowie obowiązani byli w jaknajkrótszym czasie, przyjęte fundusze składać w Banku polskim. Z przepisu takiego odniósłby niemałą korzyść i rząd, gdyż depozyta leżące dziś bezpożytecznie dla niego w kasach sądowych, przynosiłyby mu procent.

Kapitały składane do Banku na procenty wzrosły w ciągu ostatniego dwudziestolecia z 1½ mil. do 4,6 milionów. Wzrost ten głównie przypisać należy wprowadzeniu rachunków bieżących, czekowych. Jest to bardzo ważne źródło przychodu banków wogóle, a że przez Bank polski nie jest ono dostatecznie wyzyskane, dowodzi najlepiej ta okoliczność, iż np. warszawski Bank handlowy czerpie z niego blisko 2 razy większą sumę. Dla wzmocnienia przypływu kapitałów tą drogą p. Rotwand proponuje, by Bank otrzymał prawo wydawania dowodów terminowych na okaziciela i płacił od takich dowodów nie 4%, lecz 5%, ponieważ i tak przy wyższej stopie procentowej dyskonta będzie mógł dość znaczny zysk z tej operacyi osiągnąć.

Sumy przekazowe, otrzymywane przez Bank bezprocentowo podniosły się od r. 1863 do 1883 z 1 miliona do wysokości 9,8 milionów rubli. I to jednakże źródło dopływu kapitału mogłoby tryskać dla Banku daleko obficiej, gdyby władze, szczególniej wojskowe, trzymające czasowo w pogotowiu sumy na rozmaite cele przeznaczone, a często dosyć znaczne, były obowiązane wnosić je do banku i czerpać z nich jedynie w miarę potrzeby.

Zasób swych środków rozporządzalnych mógłby Bank jeszcze znacznie powiększyć, gdyby miał prawo otwierania kredytu na zastaw papierów procentowych z zastrzeżeniem, że nie odpowiada za ich numery, i obniżył cokolwiek wzamian za ten warunek pobieraną stopę procentową, a korzystając z drugiej strony z tego zastrzeżenia, przezastawiał odpowiednią część papierów w bankach zagranicznych, lub w banku państwa. Jak poważne źródło przychodu funduszów mogłaby przynieść ta operacya wskaże nam fakt, iż kredyt otwarty na zastaw papierów procentowych wynosi obecnie około 34 milionów rubli.

Wreszcie, co do rozporządzalnych funduszów Banku zaznacza referent wogóle, iż stosunek sum stałych do czasowych i wymagalnych, zmienił się bardzo w ciągu rozpatrywanego przeczeń dwudziestolecia na niekorzyść instytucyi.

Ważną anomalią naszego Banku stanowi to, iż pomimo znacznego rozwoju jego operacyj, kapitał rezerwowy, oznaczony niegdyś na 500,000 rs., pozostał bez zmiany, gdy tymczasem podług ogólnie przyjętych zasad, wobec tego, że bilans Banku wykazuje na dwie strony po 40 milionów rs. z górą, rezerwa powinnaby wynosić przynajmniej 4 mil. rubli.

Przechodząc do rozpatrzenia strony czynnej Banku, p. Rotwand z uznaniem zaznacza, iż założenie filij prowincyonalnych w rozmaitych znaczniejszych miastach Królestwa wielce się przyczyniło do rozszerzenia operacyj w ogólności, a nadewszystko skupu weksli i kredytu na towary. Za najważniejsze zadanie Banku w tym względzie słusznie uważa referent wspieranie niedrogim kredytem drobnego przemysłu i handlu, gdyż im o taki kredyt najtrudniej. Otóż, jakkolwiek cyfry, przytoczone przez p. R., dowodzą, iż działalność Banku polskiego w tym względzie była o wiele dla publiczności dobroczynniejszą, niż działalność banków Cesarstwa, to jednakże do zupełnego zadośćuczynienia wymienionemu wyżej zadaniu staje na przeszkodzie naszej instytucyi przepis, ograniczający operacye skupu do weksli

TOWARZYSTWO WIEDEŃSKIE.

IV.

Drugim członkiem partyi liberalnej niemieckiej godnym uwagi, jest Edward Suess. Chociaż względnie młody, zajął już wybitne stanowisko. Używa głośnego imienia śród geologów i ekonomistów. Jego prace: *Początki Alp* i *Przyszłość Złota*, były tłómaczone na większą część języków europejskich. Jako polityk jest jednym z najlepszych mówców parlamentu, i posiada wiele popularności. Satyryczne pisma przedstawiają go pod spokojną i słodką postacią Chrystusa. W komisyach pracuje więcej, niż inni, na posiedzeniach parlamentu słuchają go uważnie a jego rozprawy odbijają się dalekiem echem w całej Austryi.

Przed kilku laty utworzył małą partyę niemieckich liberałów umiarkowanych i skłonnych do zgody, którzy mogli się porozumieć z ministeryum hr. Taaffe; ale teroryzm napaści Herbsta, obawa rozbicia partyi, nacisk codziennych oskarżeń, pewnego rodzaju rozczarowanie—zrobiły zeń zażartego przeciwnika rządu.

Pomimo to Suess jest człowiekiem wielkich zdolności, który może dojść do najwyższych odznaczeń.

Jednym z niby umiarkowanych, który dziś wszakże zupełnie stracił wszelką miarę, jest Plener syn; bardzo ambitny, sądzi, że ministeryum Taaffego trwa za długo w porównaniu z jego nadzwyczajną niecierpliwością. Posiada w wysokim stopniu talent słowa, ma zasady, logikę, znajomość rzeczy, ale mało zapału i oratorskiego natchnienia. Mieszkał w Anglii przez kilka lat, więc popisuje się uroczyście swoją anglomanią. Przekonany że zostanie lada dzień ministrem, uważa, że to stanowisko będzie zawdzięczał swoim zasługom. Czy otrzyma w przyszłości, więcej lub mniej odległej, tekę, swych marzeń? Może; ale przed rządzeniem innymi, trzeba najprzód rządzić samym sobą.

Hr. Coronini, były prezes Izby, dawny członek partyi niemieckich liberałów, stoi na czele klubu jego nazwiska, który harcuje pomiędzy prawicą i lewicą. Coronini jest także towarzyszem młodości cesarza, a będąc prezesem Izby był przedmiotem ostrych pocisków nietolerancyi Herbsta, aż do tego stopnia, że musiał się podać do dymisyi.

Partya klerykalna, nie ma w Izbie wielu zdolnych ludzi. Ojciec Greuter, kiedyś mówca ceniony i mający przekonania, gotów zawsze do walki z liberalizmem, jest dziś stary i zmęczony. Więc tylko p. Lienbacher i dwaj książęta Liechtenstein reprezentują w Izbie z blaskiem czysty klerykalizm.

Lienbacher, dawny cesarski prokurator, jest człowiekiem wielkich zdolności. Mówca energiczny, śmiały, twardy, gwałtowny, kole i rani swych przeciwników. Jest klerykałem, ale także niezawisłym.

Dwaj książęta Liechtensteinowie grają wielką rolę w swej partyi. Są to wielcy panowie, wychowani starannie przez jezuitów, tak jak to oni umieją wychować osobniki „obiecujące.“ Dużo się uczyli, i przyswoili sobie wszystko, oprócz... talentu. Ich inteligencya została ujęta w jedną formę, a fizyognomia zachowała odcienie długiej tresury ascetycznej. Późniejsze lata rozrywek, nie zmieniły w niczem skutków pierwotnego wychowania.

Słoweńcy, którzy początkują w życiu publicznem, nie posiadają jeszcze ludzi godnych uwagi. Nie można improwizować

co najmniej 75 rublowych. Ażeby szkopuł ten usunąć, referent domaga się, by minimalna wysokość sumy weksli dyskontowanych w Banku polskim zniżona została przynajmniej do 30 rs. Żądanie to jest zupełnie usprawiedliwione wobec faktu, iż np. Bank francuski dyskontuje weksle 10 frankowe. Nie mniej też utrudnia drobnym kupcom i przemysłowcom korzystanie z kredytu Banku przepis, iż do dyskonta przyjmowane być mogą jedynie weksle, opatrzone dwoma podpisami. Jest to w wielu wypadkach jedynie czcza formalność, którą stanowczo usunąć by należało, dla czuwania zaś nad pewnością skupowanych weksli, powinienby Bankowi być dodany komitet dyskontowy, z grona miejscowych kupców złożony, jak to ma miejsce w bankach rosyjskich. W najgorszym razie, z uwagi na wzorowy, w kraju naszym istniejący, porządek hypoteczny, skup weksli z jednym podpisem winien być Bankowi polskiemu dozwolony przynajmniej w tych wypadkach, kiedy wystawca wekslu będzie w możności dostarczyć należyte bezpieczeństwo hypoteczne.

Inne, stosunkowo mniej ważne spostrzeżenia i wywody referenta pominiemy i przedstawimy tylko czytelnikowi ostateczne ich wnioski. I tak p. R. domaga się:

1) ażeby kapitał zakładowy Banku polskiego powiększony został do 18 milionów rubli;

2) ażeby wszelkim urzędom i władzom inkasującym, lub będącym w posiadaniu funduszów, należących do kategoryi t. zw. sum depozytowych Banku polskiego, polecono fundusze te najdalej w ciągu dni ośmiu przelać wprost do Banku polskiego lub jego filij, pod karą surowej odpowiedzialności dyscyplinarnej za naruszenie tego terminu;

3) aby Bankowi polskiemu nadano zostało prawo wydawania dowodów terminowych dla okaziciela na składane mu na procent pieniądze i płacenia od tego rodzaju funduszów do 5% w stosunku rocznym, w miarę uznanej przez zarząd Banku potrzeby;

4) ażeby władzom, oraz kasom i kasyerom wszelkim — skarbowym, wojskowym oraz miejskim — kraju tutejszego polecone było wszelkie, wpływające do ich kas, a zbywające od potrzeb bieżących fundusze, natychmiast do Banku polskiego na odpowiedni rachunek bieżący odsyłać i przesyłki tej, co najmniej, raz w tygodniu dopełniać;

5) ażeby przynajmniej czwarta część corocznych zysków Banku polskiego była dołączana do funduszu rezerwowego, dopóki tenże nie dosięgnie 4,000,000 rs.

6) aby Bankowi polskiemu zalecone zostało mieć więcej na względzie drobny handel, przemysł, oraz rękodzieła i weksle na drobne sumy, przedstawiające należyte bezpieczeństwo, poczynając od rs. 30, przedewszystkiem do skupu przyjmować;

7) aby dla skuteczniejszej kontroli nad tak rozszerzoną działalnością skupową utworzony został przy Banku komitet dyskontowy, złożony przynajmniej z 30 członków miejscowego kupiectwa, obieranych w tym celu przez zgromadzenie giełdowe, którzy kolejno, w liczbie co najmniej 3 do 5, byliby obowiązani uczestniczyć *codziennie* w decyzyach władz bankowych co do skupu weksli;

8) aby Bankowi polskiemu nadane zostało prawo skupowania weksli z terminem aż do 9, a przynajmniej 6 miesięcy, a także weksli opatrzonych jednym podpisem o tyle przynajmniej, o ile wystawca zabezpiecza je dodatkowo hypotecznie;

9) ażeby Bank polski dla szerszego rozwoju otwartych kredytów na papiery publiczne był władnym otwierać je w dwojaki sposób: a) z odpowiedzialnością jedynie za rodzaj przedstawionych na zabezpieczenie papierów publicznych i b) z odpowiedzialnością nadto i za tożsamość numerów; aby dalej stopa procentowa dla kredytów 1-ej kategoryi była do pewnego stopnia cokolwiek niższą niż dla drugiej, a w zamian za to Bank miał prawo przezastawiania papierów tej kategoryi w Banku Państwa, lub za granicą, w pierwszorzędnych jej instytucyach kredytowych;

10) aby Bankowi polskiemu nadane zostało prawo udzielania pożyczek na zastaw produktów rolnych, a w szczególności wszelkiego gatunku zboża.

Projekt powyższy ogólne zebranie Towarzystwa popierania przemysłu i handlu jednomyślnie zatwierdziło i postanowiło przedstawić do komitetu centralnego. Pozostaje więc nam tylko życzyć, by go władza państwowa równie przychylnie przyjęła. Kraj nasz odniósłby z tego niewątpliwie korzyść wielką. Bądź co bądź jednak, jakiekolwiek losy projekt p. Rotwanda spotkają, pracę jego i starania Towarzystwa ogół nasz winien przyjąć ze szczerem uznaniem.

W. W.

PRZEMYSŁ I ROLNICTWO W OPAŁACH.

Utyskiwanie na smutną przemysłu i rolnictwa dolę stało się obecnie w Europie powszechnem. Zewsząd słyszymy skargi i żale; wszędzie oglądają się ludzie za sposobami wyjścia z tego stanu smutnego i groźnego; tu i owdzie odbywają się poszukiwania winowajców, którzy jakoby przesilenie sprowadzili.

Winowajców?... Znaleźć ich łatwo, zwłaszcza, gdy poszukującymi są poszkodowani. W krajach. w których prawo dozwala krytykowania czynności rządowych, winowajca wskazywanym jest z góry. Kto winien? — rząd winien. We Francyi, zbiory w roku zeszłym, dobre wogóle, były w okolicach niektórych świetne; rolnicy się cieszyli, licząc na zyski znaczne; gdy atoli przyszło do sprzedaży, pokazało się, że gra świecy nie warta. Nizkość niesłychana cen nie daje procentu od nakładu, nie wynagradza pracy, zboże sprzedawać potrzeba ze stratą. Kto temu winien? — rząd winien: czemu tego nie przewidział i ceł protekcyjnych nie zaprowadził? Przemysł ze swojej strony z pretensyami występuje; pretensye jego atoli brzmią wręcz przeciwnie. Zastrzega się on przeciwko stosowaniu systemu protekcyjnego do rolnictwa, a to dlatego, że system ów podwyższyłby cenę chleba i zniewolił fabrykantów do podniesienia zapłaty robotnikom i do podniesienia ceny wyrobów fabrycznych, coby utrudniło ogromnie spółzawodniczenie z wyrobami zagranicznymi. Robotnicy zakładów przemysłowych, z którymi, skutkiem liczby ich znacznej, we Francyi liczyć się potrzeba, sprzeciwiają się siłami całemi zaprowadzeniu ceł ochronnych zbożowych. Ponieważ jednak, mimo taniości zboża, położenie ich wesołem nie jest zgoła, i dla nich przeto: kto winien? — rząd winien. W Szwajcaryi pod tym względem dzieje się nie inaczej. W kantonie genewskim, na który patrzę bliżej, za zastój w handlu, za to, że cudzoziemcy przybywają w liczbie mniejszej, niż zwykle, za niedobory w fabrykacyi zegarków, za ogólne przemysłu niedomaganie, za wszystko, słowem, odpowiedzialność zwala się na rząd. Rząd jest winowającą ogólnym i wielkim — a tak dojeżdżanym, że jeden z jego członków, naczelnik departamentu finansów, inaczej, minister skarbu, p. Patru, dni temu kilka uciekł i odszukać go nie sposób (dymisyi dostać nie mógł inaczej). Winowajca przeto jest; to atoli rzeczy nie poprawia ani trochę. Złe się trzyma.

---

ani wielkich mówców, ani wielkich polityków.

Trzeba długiego wykształcenia dla młodego narodu, aby się poddać parlamentarnym formom; ich pierwsi obrońcy, są raczej bohaterami, niż dobrymi mówcami.

Polacy grają w wiedeńskiej Radzie państwa rolę bardzo wybitną, z powodu ich liczby i przysłowiowej zdolności. Smolka, prezydent Izby, jest synem Polski. Nie jestem, jak wiecie, dla naszych sąsiadów bardzo stronnym, ale oddaję im słuszność. Chociaż bardzo zdolni, polacy nie wdzierają się w interesy. Wogóle, nie są prawodawcami. Nie mają wielu świetnych mówców — można wyliczyć tylko trzech: Dunajewski minister finansów, Wolski i Hausner. Dwaj pierwsi nie mogą być równani z ostatnim, który jest mówcą pierwszej wody. Zadziwiający to mistrz. Wysoki, szczupły, bardzo szlachetnych manier, niezmiernie sympatyczny, mówi jak człowiek który umie tak używać słowa aby ono było zarazem artystyczne i rozumne. Wyraża się z rzadką elegancyą. Jego subtelność jest zadziwiająca. Nikt lepiej, jak zarazem i przyjemniej nie umie uderzyć na przeciwnika. Jego dowcip ma wszystkie zalety, wszystkie wdzięki, i zarazem całą siłę.

Rzecz dziwna, że Hausner, posiadając tak cudowny talent, pozostał przez wiele lat niemym, milczącym na swem krześle poselskiem. Zaledwie kiedy niekiedy zrobił małą i bez znaczenia uwagę, aż oto pewnego pięknego dnia, przed pięciu laty, nagle powstał jako wielki mówca i zachwycił Izbę. Należy on do postępowców. Głosował kiedyś z lewicą ale od chwili, gdy niemiecka partya rzuciła się do opozycyi na oślep, przestał jej bronić.

Umysł czynny, dusza szlachetna, Hausner wiele zajmuje się sprawami społecznemi. Pracuje oddawna nad wielkiem dziełem, którego części już są drukowane i które nosi tytuł: *Statystyka ogólna nędzy.* Hr. Hohenwart przedstawia w Izbie uosobienie najzupełniejszego feodalizmu. Partyę tę składają wielcy panowie, należący po większej części do narodowości niemieckiej; trzyma ona środek pomiędzy klerykałami i federalistami; podziela pewne „średniowieczne" doktryny i sprzyja narodowościom. Jest to partya rządowa, której członkowie są prawie wszyscy umiarkowani, bez namiętności. Hohenwart posiada umysł szczery i charakter piękny. Zajmują go tylko ludzie tytułowani od dawna i stara szlachta; potem idzie szlachta świeża, dalej baronowie żydzi, co dla hrabiego jest brzydką kontrabandą. Reszta, tj. mieszczaństwo, lud, handlarze—to dla niego pomieszana masa, warstwa, na której opierają się nogi książąt, hrabiów i szlachty. Posiada on szlachetne uczucia, wzniosły charakter, wysokie zasady, porywy które można nazwać wspaniałymi.

Jako mąż stanu jest poważny, uczciwości politycznej najdoskonalszej, sumienia bez zarzutu.

Szkoda tylko, że to człowiek skrojony według miary średnich wieków i nic nie zdołałoby go skłonić do zmiany idej, które dziś są zacofane.

Nie ma przedstawicielstwa parlamentarnego, któreby robiło więcej zaszczytu swemu krajowi, niż reprezentacya czechów. Posłowie tego narodu energicznego i młodego—chociaż historya czechów ma przeszło tysiąc lat—są to wszystko ludzie odwagi, czynu i talentu. Oto Rieger, przewódca uwielbiany, czczony przez czeski naród. Palacki, przedstawił go swym współobywatelom jako drugiego siebie, jako następcę do prowadzenia wzniosłych, narodowych interesów, a na dowód zaufania i nadziei jaką w nim pokładał, dał mu za żonę własną córkę.

Rieger już przed trzydziestu laty był człowiekiem sławnym w Austryi. Jednak-

Złe tutejsze wiele ma podobieństwa do tego, na jakie skargi napełniają po brzegi pisma nasze. Przemysł tu i tam cierpi tak samo; tak samo też zagrożonem jest rolnictwo.

Szwajcarya nie należy do krajów rolniczych — z tego co produkuje, wyżywićby się nie mogła. Żywi ją przemysł, prowadzony w sposób niezmiernie ryzykowny, polegający na tem, że się sprowadza materyał surowy, przerabia się go w fabrykach i na warsztatach szwajcarskich i w postaci wyrobu wraca na sprzedaż tam, skąd sprowadzony został, lub też idzie na rynki, na których czeka nań spółzawodnictwo z wyrobami francuskimi, angielskimi, niemieckimi. Porządkiem tym wyrabia ona zegarki, maszyny, narzędzia matematyczne, tkaniny jedwabne i bawełniane, kupując za granicą złoto, srebro, miedź, żelazo, jedwab, bawełnę a nawet i węgiel kamienny. Łatwo sobie wystawić, z jaką to dokładnością i ostrożnością prowadzić należy przemysł tego rodzaju, ażeby zapewnić sobie zyski. Jak to łatwo na spekulacyi podobnej utknąć! Utknięcie też nastąpiło i zatrwożyło szwajcarów. Rwą się im, że tak powiem, nitki. Niedomaganie przemysłowe ogólne odbija się na nich tem dotkliwiej, że zwróciwszy ku przerabianiu materyałów surowych sprowadzanych siły całe, zaniechali uprawy wielu artykułów, któreby uprawiać mogli. Położenie ich w tym względzie jest położeniem robotnika w fabryce. Zajęcie nie dozwala mu myśleć o gospodarstwie domowem, o uprawieniu sobie grządki, hodowaniu drobiu, przyrządzaniu jadła: nabywa to zagotówkę. Tu zarabia, tam wydaje — różnica powinna mu zysk zapewniać. Zupełnie tak postępuje Szwajcarya. Wyjątek stanowi wino i rola, a to dlatego, że tu i owdzie znajduje się grunt, którego inaczej zużytkować niepodobna. Jak np. zużytkować pastwiska alpejskie, jeżeli nie na chów bydła? Uprawiają się przeto winnice, zasiewają pola, hoduje bydło, ale o tyle tylko, o ile zajęcia te w spożyciu wewnętrznem nie przynoszą strat tym, co im się oddają. Wino, zboże i bydło szwajcarskie nie wychodzą po za granice kraju, przeciwnie, wykazują w bilansie ogólnym niedobory, które wyrównywać należy za pomocą kupowania artykułów tych za granicą. Wino sprowadza się z Francyi; zboże sprowadzano w czasach ostatnich z Węgier; bydła Francya, Niemcy i Włochy dostarczają. Co do artykułów tych, spółzawodnictwo handlowe odbywa się na miejscu. Rolnicy i hodowcy szwajcarscy nie tracą na cenach, jakie stanowią dla nich kupcy, pośredniczący w dostawie zboża węgierskiego, win i bydła francuskiego. W czasach atoli ostatnich Szwajcarya i na tem polu zaatakowaną została, nie we względzie win i bydła jeszcze, ale we względzie zboża. Konkurencya węgierska ustaliła cenę 23 franków za 100 kilogr. pszenicy, cenę, dającą 3 do 4% zysku czystego. Konkurencya amerykańsko-indyjska cenę tę obniża do franków 13, to znaczy, naraża rolnika na stratę ogromną. A więc — trwoga! Z jednej strony przemysł mocno zagrożony, z drugiej rolnictwo doprowadzone do położenia bez wyjścia. *Tout comme chez nous*. Winien temu, jak powiedziałem wyżej, rząd. Dodać atoli należy, że obwinianie rządu pochodzi od stronnictw, jest przeto znanym i bardzo pospolitym manewrem przeciwników, którym nie o środki zaradcze, ale o co innego chodzi. Niezależnie od tego obmyślają się środki zaradcze, odbywają narady, organizują stowarzyszenia, robią studya, piszą i drukują artykuły dziennikarskie i książki. Z tych ostatnich jedna, wydana w Lozannie p. t. „Pomyślność rolnicza doprowadzi do przemysłu kwitnącego“ (*L'agriculture prospère fera l'industrie florissante*), leży właśnie przede mną. Napisaną jest ona przez p. F. Zbinden, sekretarza w dep. spr. wewn. kantonu Vaud; nagrodzoną w konkursie, wyznaczonym na zadanie: „Jakie rodzaje przemysłu możnaby z korzyścią w Szwajcaryi wprowadzić i rozwinąć? Wykazanie dróg i sposobów do celu tego prowadzących.“ Może wskazówki, jakie praca ta daje, i u nas — w czemś bodaj — przydatnemi się okażą.

Autor, lubo w tytule „rolnictwo“ zaznaczył, rolnictwem atoli właściwem, tj. uprawą roli, zajmuje się niewiele. Sprawę tę z góry dla ojczyzny swojej za przegraną uważa, doradza przeto ziemianinowi ograniczyć uprawę do potrzeb domowych, produkując na sprzedaż w ilości małej te jeno zboża, które wyprodukować się dadzą w gatunku najlepszym — jakością zastąpić ilość; usiłowanie zaś całe zwrócić do uprawy traw pastewnych i hodowli bydła. Za powodzenie tej ostatniej przemawia, zdaniem jego, wyższość gatunkowa traw pastewnych szwajcarskich. Tak tego jest pewnym, że powiada: „w hodowli bydła czerpać winniśmy najpierwszy i najważniejszy z naszych środków rolniczych... i jeżeli potrafimy na gruncie tym umiejętnie się rozwinąć, nietylko nie prześcignie nas nikt, ale nikt nas doścignąć ani wyrównać nam nie zdoła. Niepodobna pozbawić nas ani wypasów sztucznych na równinach, ani pastwisk górskich.“ Na podstawie tej wzywa rządy kantonalne do oddziaływania przeciwko *uporowi rutyny*, do złamania jej za pomocą wykładów, zachęty, nagród, zwłaszcza zaś za pomocą założenia dwóch instytucyj niezbędnych: kredytu rolniczego i asekuracyi wzajemnej. Jest to jedna strona sprawy. Polega ona, jak widzimy, na zastąpieniu uprawy zboża chowem bydła — na podniesieniu tego ostatniego do rozmiarów takich, ażeby starczył na wywóz.

Sprawa ta jednak ma drugą jeszcze stronę — stronę gospodarstwa domowego, z rolnictwem sprzężonego, a przez przemysł stłumionego. Autor uważa ją za bardzo ważną. Zaniedbanie jej prowadzi do tego, że Szwajcarya płaci sąsiadom rocznie haracz, o którego wysokości sądzić można z jaj. Jaj z zagranicy sprowadza ona rocznie przecięciowo 4,250,000 tuzinów, co, licząc tuzin wedle ceny najtańszej po centimów 80, wyprowadza z kraju 3,600,000 franków. Tak samo dzieje się z cykoryą, sitowiem, chmielem, pszczelnictwem, hodowlą nierogacizny, sadownictwem, uprawą roślin włókniastych i hodowlą owiec na wełnę. Szwajcarya produkcyę każdego z artykułów tych podnieśćby mogła do stopnia takiego, iżby nie potrzebowała ani za jeden centim z zagranicy sprowadzać; niektóre zaś wywozić by się dały, jak np.: miód. Pszczelnictwo stoi tu na stopniu dziwnie nizkim, mimo że warunki klimatyczne sprzyjają jego rozwojowi. W Ameryce postąpiło ono znacznie; uczyniono tam z niego gałąź przemysłu, w którym przytaczają przykłady rozpoczęcia hodowli pszczół od ulów kilku i doprowadzenia jej w krótkim czasie do sprzedawania z pasieki rocznie po 60 — 80,000 funtów miodu — nie licząc wosku. Miód amerykański znajduje się po handlach korzennych w Genewie, Lozannie, Bernie, podczas kiedy w Alpach zawrotu głowy dostaje się od kwiatów, brzemiennych tym materyałem, z którego wyrabiano napój, smakujący w sposób osobliwy bogom Olimpu i praojcom naszym. „Pszczelnictwo może i powinno rozwinąć się na wielką skalę w Szwajcaryi — powiada p. F. Zbinden — wiadomo bowiem, że zamiast szkodzić rolnictwu praca pszczół jest żywiołem zapładniania kwiatów... Wiemy przytem, że flora nasza krajowa wielce jest miodonośna i że produkowany u nas miód należy do gatunków, posiadających wyższość niezaprzeczoną.“ Autor podaje średni z miodu dochód na 50%; przyjmuje go jako „minimum w latach zwyczajnych,“

że gdy pierwszy raz zabrał głos w Izbie, myślano, że nastąpiło objawienie—tyle siły, piękności, oryginalności było w jego mowie, która przeszła wszystkie oczekiwania. Nigdy jeszcze w austryackiej Izbie, słowa wolności, nie były wygłoszone z tak silnym akcentem, głosem tak dźwięcznym, w formie świetniejszej. Nigdy krzyk oswobodzenia narodu nie był wypowiedziany z zapałem bardziej udzielającym się, ani jego niezależność ogłoszona z większem przekonaniem, z większą powagą moralną.

Lecz niestety czesi, zrozumieli wkrótce, że obietnice, jakie otrzymali, były pustem kłamstwem, więc ustąpili z parlamentu, niegodnego mieć ich posłów. Czy słusznie zrobili, postanowiwszy zranieni, nie walczyć więcej, i odepchnąć jako przeciwników tych, których uważali za sprzymierzeńców. Wstrzemięźliwość jednak nie jest nigdy dobrą bronią dla żadnej partyi.

Rieger, choć ustąpił z parlamentu, jednak nie stracił tych siedemnastu lat, podczas których był od niego oddalony; jego wysiłki aby przyznano prawa narodowi czeskiemu nie ustawały, działał ciągle. Był on zarazem mężem stanu, dziennikarzem, miewał popularne konferencye, powoli kształcił, podnosił, przygotowywał naród do życia politycznego.

Wiedząc, że polityka jest rzeczą względną, okazywał się zawsze skłonnym do układów, porozumienia z przeciwnikami, a pomimo tego wstrzymanie się czechów tak długo trwało.

Dzisiaj, dzięki zgodzie, zawartej między hr. Taaffe a czechami, ci znów zasiadają w Radzie państwa. Rieger zajął miejsce pomiędzy nimi, nie przestał być ich wodzem i przewodnikiem. Jego powaga wzrasta. Jeżeli zestarzał się jako człowiek, to przecież ząb czasu nie dotknął jego mówniczego talentu. Jego głos ma nawet powne czułe dźwięki, których nie posiadał dawniej, a którymi wzrusza. Widząc tylko raz Riegera czujesz do niego pociąg.

Trojan jest przewódcą frakcyi młodych czechów. Był to kiedyś zdolny mówca i czynny polityk. Dziś się zestarzał, więc zostawia pole innym. Obok niego stoi Gregr, redaktor gazety *Narodny-Listy*. Jest to człowiek zadziwiający. Pisze w nocy, mówi w dzień. Niemcy nie mają większego przeciwnika, francuzi szczerszego i wierniejszego przyjaciela.

W ostatnich czasach napadał ostro na węgrów, zarzucając im, że nie kochają wolności, gdy ta nie jest korzystną dla nich.

Starzy czesi byli przekonani, że jego wybór jest błędem, ale idee młodych—zwyciężyły i Gregr wszedł do parlamentu.

Kiedy pierwszy raz zabrał głos, cała Izba była w poruszeniu. Niemieccy liberały obawiali się spotkać z zarzutami w stylu *Narodnych Listów*; klerykalni widzieli się zdemaskowanymi; staro-czesi wątpili o powodzeniu jego słowa, które mogło szkodzić dobrej sławie partyi; feodalowie nawet drżeli.

Nareszcie Gregr począł mówić... A mówił wyśmienicie, w tonie przyzwoitym, jak prawdziwy polityczny człowiek—skromnie, ostrożnie, chociaż trafiał do serc. Nawet partya liberalna niemiecka musiała klaskać, choć ją dość źle traktował. Staro-czesi żałowali, że tak długo zamykali drzwi parlamentu mówcy tak wielkiej siły.

Nic nie może lepiej scharakteryzować jego mowy jak te słowa: „Jest to siła natury.“

* *
*

Na tem kończymy wyjątki z artykułu Vassili'ego.

---

utrzymując, że umiejętne z pszczołami obchodzenie się, przy pracy zabierającej w epoce rojenia się czasu miesiąc i do wybierania miodu dni kilka, doprowadzić może do zwrotu kapitału nakładowego we dwój, we trój, we czwórnasób nawet.

Nie wiem o ile skazówka ta rolnikom naszym posłużyć może. U nas niegdyś miód stanowił jeden z artykułów bogactwa krajowego. Ukraina i Podole zboże na wywóz uprawiać zaczęły od czasów, jak się otworzył port w Odesie: przed tem wyprowadzały za granicę bydło i wywoziły łój, otrzymywany na tak zwanych *sałhanach*, które się praktykowały w epoce dziecińmstwa mego. Czy powrót do gospodarki takiej byłby obecnie możliwy? O tem wątpić można, pomimo że p. F. Z. coś podobnego Szwajcaryi doradza. Doradza on atoli jeden uprawy rodzaj, do którego wskazówkę znalazłem i w jego pracy i w przysłanej mi łaskawie przez autora, pana F. A. G., po rosyjsku pisanej broszurce, p. t. „Próba praktycznej uprawy chmielu.“ Autor wyprowadza ogólny na przedmiot ten pogląd z tego punktu, że upadek winnic, który coraz to bardziej i coraz to szerzej niszczy filoksera, przyszłość świetną otwiera dla piwa i przez piwo dla chmielu, branego w znaczeniu „podpory gospodarstwa.“ W takiem samem znaczeniu i szwajcar uprawę tę przedstawia. W tym względzie dwie wskazówki, wzięte w punktach tak od siebie oddalonych, schodzą się, a zatem i u nas przydatne być mogą. Możeby się pomysły szwajcarskie przydatnemi okazały i we względach innych. Nie wiem tego; nie mam do czynienia ani z rolą, ani z solą: uderzyło mnie jeno podobieństwo położenia i jednobrzmienność utyskiwań, jakie wyczytuję w dziennikach polskich i szwajcarskich.

T. T. Jeż.

NASZA UPADŁOŚĆ HISTORYCZNA.

I.

Tadeusz Korzon. **Wewnętrzne dzieje Polski za Stanisława Augusta** (1764 — 1794), Kraków.

Zbyt szeroki ten tytuł pokrywa treść zawartą w szczuplejszych znacznie i ściśle określonych granicach. Autor zresztą sam to uwydatnia, nazywając dzieło swoje „badaniami historycznemi ze stanowiska ekonomicznego i administracyjnego.“ Życie duchowe, praca myśli zbiorowej narodu odsunięte są na drugi plan, a raczej potrącane tylko mimochodem, przy sposobności jeżeli zachodziła konieczna potrzeba oświetlenia pewnych zjawisk dla lepszego ich zrozumienia. Ogrom zadania wymagał takiego rozgatunkowania przedmiotu; zmierzywszy zamiary swoje według sił, p. Korzon wybrał to, co najlepiej upodobaniom jego i uzdolnieniu odpowiadało, a nie kusząc się o wszechstronność, dał nam pracę specyalną, może nawet nieraz zbyt drobiazgową i za mało skupioną, ale sumienną i gruntowną. Dla obrazu tragicznej epoki rzucił on tło i narysował kontury, brak tylko jeszcze światła, a co za tem idzie i perspektywy historycznej, brak tylko żywszego kolorytu ażeby cała ta mozaika zawrzała życiem.

Tom III-ci, który mamy przed sobą przedstawia stan skarbowości w Polsce, za panowania Stanisława Augusta.

Przedewszystkiem jednak słów kilka o stanowisku autora i charakterze dzieła. Przystępując do obecnej pracy, p. Korzon, jak to zaznacza w przedmowie, posiadał już przekonanie, że surowe sądy historyków, zwłaszcza obcych, np. Kostomarowa, Iłowajskiego, Sybela „jakkolwiek naukowo uzasadnione, zawierają przecież jakiś pierwiastek zagadkowy, który zawadza jasności i ścisłości wywodu, który niezrozumiałymi, niepodobnymi do wyrozumienia czyni objawy żywotności w tak zgangrenowanym narodzie,“ jakim był, według mniemania cytowanych autorów, naród polski. Surowość sądów pochodzi stąd, że dotychczasowe prace historyczne o epoce rozbiorowej zwracały jedynie uwagę na tę część społeczeństwa, która brała bezpośredni udział w działaniach politycznych. Rzeczywiście dodaje p. Korzon „wobec nadciągającej nawałnicy sfery rządzące w Polsce ujawniły ogrom wstrętnego zepsucia a małą stosunkowo dozę przezorności, energii, poświęceń, mało umysłów uzdolnionych do pojmowania polityki i prawa państwowego, a jeszcze mniej charakterów politycznych.“ Kreśląc dzieje ostatnich chwil „wielkiego a nikczemnego narodu, który bez ratowania się ginął“ (Staszyc) winien był p. Korzon silniej zaakcentować owo nieporozumienie, zwalające ciężar zbrodni i wady jednej klasy na barki całego narodu, który bez własnej woli i winy dzielić musiał nietylko los swych panów, ale również wespół z nimi dźwigać brzemię hańby i sromoty. Dotychczasowe badania nie uwzględniały prawie położenia klas rządzonych, co najwyżej zaznaczając tylko „o ile stan ich i usposobienia odbijały się w prawodawstwie albo w dyskusyach politycznych autor“ pragnie zapełnić tę lukę i pokazać te masy „w życiu codziennem, w powszedniej pracy, w głębi ich pragnień i uczuć.“ Jak widzimy więc, praca p. Korzona jest tendencyjną i wątpimy, czyby inną być mogła. Niepotrzebnie więc autor zastrzega że jest dalekim od dążności polemicznych i obiecuje objektywne traktowanie przedmiotu. „Miejmy dosyć siły—woła: on, żeby zapanować uczuciom, gdy idzie o pracę myśli, o światło nauki.“ Zauważyć jednak trzeba, że nie przeprowadza ściśle zasady podporządkowania uczuć wymaganiom nauki dla nauki, co źle mówi o jego konsekwencyi, ale dobrze świadczy o obywatelskich przekonaniach. Poszukiwanie prawdy i tylko prawdy z zastrzeżeniem: „o ile ją pochwycić i wyrozumieć zdołałem „nie jest jeszcze bynajmniej objektywizmem, jak nim nie jest wystrzeganie się świadomych fałszów i wykrętnych wniosków. To tylko zwykła uczciwość pisarska.

W pracy swojej wyzyskał p. Korzon obficie chociaż niezupełnie źródła znane i nieznane. Oprócz pism peryodycznych, podróży, pamiętników, broszur i pamfletów, dzieł ekonomicznych, dyaryuszów sejmowych, zbiorów praw itp. czerpał wiele z rękopismów, jak np. Rachunki generalne Komisyi skarbu Rzplt. koronnego, rachunki dochodów i wydatków królewskich, Akta Rady Nieustającej, księgi niektórych komisyi porządkowych (bardzo niewiele) itd. Rachunków skarbu W. X. Litewskiego nie badał autor w oryginałach. treść zaś ich a czasem tylko sumy ogólne zna tylko ze sprawozdań Deputacyj sejmowych, to też skarbowość Litwy opracowaną jest daleko pobieżniej, aniżeli korony.

Upadek polityczny Polski datuje autor od połowy XVII wieku, kilkoma zaledwie rysami, ale wyraziście kreśli rozstrój machiny rządowej, stratę znaczenia państwowego, wzrastającą niemoc ekonomiczną i wzrastający upadek umysłowy i moralny klasy panującej. W haniebnej epoce saskich rządów nastąpiło takie obniżenie ideałów obywatelskich, że nawet w uczciwszych umysłach szczytem szczęścia pozostało pragnienie stanu rzeczy, przy którym obywatel „na łonie ojczyzny spokojnie zasypiać będzie.“ Nic więc też dziwnego, że gdy z tej słodkiej drzemki zbudziły go gromy nadchodzącej burzy i łoskot walącej się budowy państwowej, zaspany obywatel zerwał się na równe nogi, ale nim przetarł sobie oczy i zrozumiał o co chodzi—było już zapóźno.

Naturalnie ów „słodko śpiący na łonie ojczyzny“ obywatel nie miał pojęcia ani o jej rozległości, ani o liczbie zaludnienia, ani o zasobach bogactw naturalnych, ani o ekonomicznych potrzebach. Kiedy jedni rozległość państwa przed pierwszym rozbiorem obliczali na 13,000 mil kwadratowych, drudzy rachowali 16,000, 21,000 a nawet 21,333 m. k. Nawet po katastrofie nie ciekawi byli dowiedzieć się, ani ile im zabrano, ani ile zostało. Według obliczeń p. Korzona w 1772 r. już po zajęciu Spiżu przez Austryę rozległość rzeczypospolitej wynosiła 13,300 m. kw., po pierwszym rozbiorze zaś pozostało 9,437, było to więc terytoryum wyrównywające powierzchni Francyi; warunki przyrodzone—np. żyzność gleby—były prawie takie same, ale Gdańsk, otoczony pruskiemi komorami, był jedynym portem. Dotkliwie również odczuto stratę kopalni soli, a pod względem strategicznym cała granica stała dla nieprzyjaciela otworem, bez żadnej obrony naturalnej.

Na tem terytoryum (13,300 mil kw.) mieszkało zaledwie 11,000,000 ludności, chociaż współcześni autorowie podają ją na 16 (Czacki) lub 14 milionów (Staszyc). Szlachta polska opierała się obliczeniu ludności z dwóch powodów: „Z porównania wolnych *capitum cum servitibus*“ wynikał „*dedecus*“ a „*periculum*“ polegało na tem „że nas obce narody policzyć mogą.“ Ponieważ inne państwa nie podzielały tych obaw (Rosya zwracała uwagę na *dedecus*) wiemy, że wskutek pierwszego rozbioru odpadło 4,000,000 ludności. W epoce od 1775 do 1792 r. przedsiębrane były różne próby obrachowania ludności, ale każdemu z rachmistrzów wypadały inne cyfry. Wybicki w 1777 wynajduje 5,631,364, Staszyc 6 milionów. Moszyński w 1788 7,354,000, Büsching raz $8^1/_2$, drugi raz 9,300,000, trzeci 12 milion., inny autor 11 milionów itd. Opierając się na cyfrze domów i obliczeniach Moszyńskiego, p. Korzon dochodzi do przekonania, że w 1791 r. było 7,800,000 a z dodatkiem opuszczonych w popisie żydów szlachty i duchowieństwa 8,800,000 mieszkańców. Wiele bardzo miejsca poświęcił autor obliczeniu szlachty, która skupiała w sobie całe życie polityczne narodu.

W 1775 r. w broszurze *Les paradoxes* podana jest liczba magnatów i zamożnej szlachty na 30,000 i gminu szlacheckiego na 1,300,000. Ani ta cyfra wszakże, ani podział nie są dokładne. Za pomocą skomplikowanego wielce a pracowitego rachunku (nieraz za pomocą wyliczeń wstecznych) p. Korzon wykazuje że w 1791 r. było w granicach Rzeczypospolitej 318,000 głów posesyonatów i 407,000 szlachty drobnej, zagonowej, co stanowi 9% ludności.

Duchowieństwo wyznań chrześciańskich wynosiło 50,000 głów, w tej cyfrze wszakże mieszczą się rodziny księży unickich i prawosławnych.

W szeregu państw zajmowała Polska szóste miejsce (po Hiszpanii lecz przed Prusami), biorąc wszakże na uwagę gęstość zaludnienia widzimy, że siła fizyczna, mięśniowa Polski w stosunku do Francyi wynosiła zaledwie ósmą część niespełna. Ale i tę 9 milionową masę dzieliły jeszcze, oprócz społecznych, różnice religii i pochodzenia. Protestantów w 1791 r. było około 200,000, dyzunitów 300,000. Ludność tej ostatniej kategoryi była wrogo usposobioną względem Polski, a korzystając z potężnej opieki współwierczego państwa, objawiała ją czynnie. Unitów było 2.666,000, ormian, pozaborze Galicyi 30,000, tatarów około 50,000 i żydów 900,000 głów. Ci ostatni prześladowani w miastach, cieszyli się zwykle względami szlachty i posiadali dosyć znaczną swobodę w sprawach wewnętrznych. Oprócz niewielkiej liczby bogaczów, ogół żydowski żył w strasznej nędzy. Zupełna obojętność polityczna cechowała tę klasę

mieszkańców kraju, dopiero w 1794 r. zjawiły się odosobnione starania o rozbudzenie ducha obywatelskiego. „Zbudźcie się jako lwy i lamparty“ wołał Berek Josielowicz, ale prócz kilku humorystycznych tradycyj nie pozostało więcej śladów tego rozbudzenia.

Latifundia magnackie zadziwiają rozmiarami. Radziwiłł „Panie kochanku“ oprócz ogromnych dóbr dziedzicznych posiadał w samych królewszczyznach 16 miast i 583 wsie, a trzymał 6,000 nadwornego żołnierza. Szczęsny Potocki miał 3,000,000 morgów ziemi (przeszło 300 m. kw.). Niemniej bogaty był Adam Czartoryski, dalej szli Ogińscy, Branicki i inni. W porównaniu z nimi ordynat Zamojski był ubogim. O gospodarce dają niejakie pojęcie bardzo niskie intraty, zresztą wszyscy prawie magnaci byli obdłużeni po uszy.

Duchowieństwo posiadało znaczne dobra, 861,000 poddanych i dochody, spełniało ono w społeczeństwie czynność stanu uczonego, chociaż cudzoziemcy z lekceważeniem wyrażają się o tem. Przyznać jednak należy, że znajdowała się spora liczba chlubnych wyjątków. Wstrętnie wygląda galerya najwyższych dostojników kościoła. Kasztelan Jezierski „niepośledni prześladowca duchowieństwa“ stanowi temu przypisuje wszystkie klęski. Czterej prymasi pobierali pensye od obcych dworów a dwaj z nich Podoski i Ostrowski wsławili się hańbiącymi czynami, Młodziejowski biskup poznański zdradzał za pieniądze tajemnice stanu, Masalski do zdrady dołączył jeszcze rabunek grosza publicznego i skończył na szubienicy, karę tę poniósł również Kosakowski biskup inflancki, a chełmski Skarszewski uniknął jej w drodze łaski, nawet cieszący się dobrą opinią Rybiński biskup kujawski żądał u posła pruskiego „pożyczki“ 60,000 talarów. Zasługi Krasickiego, Naruszewicza, Kołłątaja, Staszyca, Sołtyka i innych zaledwie chyba przeważą szalę. Miast w 1790 r. było 1414 (905 w Koronie i 509 na Litwie), z których w 918 było mniej niż 100 dymów, tylko 36 miast w koronie i 15 na Litwie właściwie zasługiwać mogło na to miano. We wszystkich miastach było najmniej 1,200,000 ludności, w tej liczbie około ½ miliona żydów i tyleż mieszczan. Położenie ekonomiczne ludności miejskiej wskutek braku przemysłu i handlu było opłakane, 17 letni jednak pokój poprawił nieco stan rzeczy i w epoce sejmu 4-ro letniego, klasa mieszczańska przodowała innym w dążeniach obywatelskich. Nawet Gdańsk i Toruń prześladowane i zrujnowane przez zaczepki i ograniczenia prusaków okazały więcej patryotyzmu i stałości, aniżeli cały „prześwietny stan rycerstwa.“ Włościan w 1791 r. liczono około 6,360,000. Włościanie wolni, parobcy, koloniści około 1,000,000, poddani dóbr stołowych 190,000, królewszczyzn 840,000 dóbr duchownych 860,000. Resztę tj. 3½ miliony stanowili poddani szlachty. „Śpiący na łonie ojczyzny“ szlachcic nie lepszym był rolnikiem jak obywatelem. Połowa gruntów leżała odłogiem, a nawet w 1780—1784 r. tj. dobie najpomyślniejszej, produkcya zboża dochodziła zaledwie 76 milionów korcy, kiedy dziś na tej przestrzeni daje blisko dwa razy tyle, mianowicie 144,875,000 korcy. Obliczenia współczesne podają od 20 do 100 i więcej milionów korcy, ale nic są prawdziwe, bo wywołane zwykle projektami podatkowymi. Wartość pieniężna produkcyi rolnej równała się 383,000,000 złotych.

W teoryi, w opinii ogółu rolnictwo stało na pierwszym planie. Jego potrzebom i wymaganiom ulegać musiały przemysł i handel, nieraz z wyraźną szkodą dla bogactwa narodowego. Współcześni ekonomiści hołdowali zasadom fizyokratów, nawet najwykształceńsi jak Staszyc, Popławski, Strojnowski i inni. Dostają im się za to od p. Korzona cięgi w imię nauki (rozumie się manchesterskiej) chociaż właśnie prawdziwa nauka rehabilituje niektóre „przesądy“ fizyokratów.

Pomijamy obszerne przedstawienie sprawy włościańskiej, zaznaczając tylko, że w ostatnich latach pod wpływem prądów krążących w warstwach oświeconych dają dostrzegać się w masach ludowych przebłyski świadomości swego stanu. „Chłopi chełpiąc się *czynnością francuską*, dziedzicom się odgrażają.“ W chwili prób ciężkich, w chwili klęsk bolesnych ta zdeptana, upośledzona masa niosła chętnie w ofierze dla swej „macochy“ nietylko życie ale i resztki ukrytego od szlacheckiej chciwości mienia. Wykazy ofiar złożonych w 1792 i 1794 na cele publiczne świadczą o znacznym stosunkowo udziale włościan.

W związku ze stanem rolnictwa znajdował się handel wywozowy. W XV i XVI wieku był on dosyć ożywiony a rząd ówczesny nie skąpił mu troskliwej opieki. W pierwszej połowie XVII wieku z Gdańska spławiano rocznie 100,000 łasztów zboża. Walka szlachty z mieszczaństwem a potem upośledzenie tego stanu sprowadziły zmianę. Bezmyślna polityka handlowa, potworne prawa doprowadziły do tego, że w XVIII wieku miasta upadły zupełnie, zaś wywóz zboża zmniejszył się do 3,492 łasztów w 1715, 2,392 w 1737 a w najpomyślniejszych czasach dochodził zaledwie do 54,000 łasztów. Nawet w najlepszych latach suma wywozu wynosi około 110,000.000 złp. tj. ¹/₇ wywozu Anglii i blizko ⅓ wywozu ówczesnej Francyi. Wartość przywozu nie może być obliczoną, znaczny jednak bardzo procent tej rubryki stanowią towary zbytkowe.

Smutny stan miast odpowiadał w zupełności i stanowi przemysłu. Z inicyatywy króla i świetlejszych magnatów podjęte zostały w epoce międzyrozbiorowej (1774 — 1792) starania celem podniesienia fabryk i rękodzieł. Wraz z rozbudzeniem się dążeń reformatorskich poprawiało się i ekonomiczne położenie kraju. Zmiany dotyczące położenia miast a zaprowadzone przez konstytucyę 3 maja nie miały czasu ujawnić swych skutków. Autor wyświetla prawdziwe znaczenie fantastycznych projektów Tyzenhauza, podnosi mało ocenioną działalność Jezierskiego, ale wogóle wykazuje nieudatność przedsiębiorstw przemysłowych szlachty.

Przesilenie ekonomiczne a zwłaszcza finansowe, olbrzymie bankructwa itp. objawy oprócz przyczyn politycznych miały bezwątpienia źródło w wygórowanej spekulacyi. Brak specyalnego wykształcenia ekonomicznego przeszkodził p. Korzonowi w zbadaniu dokładnem tego zjawiska.

Ogół bogactwa narodowego nie daje się ściśle obliczyć. P. Korzon sam ostrzega, że wnioski jego w tym względzie jedynie „mieć mogą znaczenie hypotezy“ i służyć chyba jako materyał dla przyszłych badaczów. Pomijając szczegóły rachunku, zaznaczamy tylko, że autor oblicza wartość prywatnych dóbr ziemskich na 2,111,000 złp., królewszczyzn i dóbr duchownych 703,700,000, ekonomij 111,333,500, wreszcie majątku poddanych 600,292,780 złp. Dodając do tego wartość majątku miejskiego i żydów w sumie 2,426,000,000, otrzymamy ogół bogactwa narodowego w 1791 r. 5 miliardów 950 milionów, i około 300 milionów dochodu. W sumie tej brakuje wielu jeszcze pozycyj. tak, że śmiało dodać można około 100 milionów dochodu więcej.

Takie były zasoby Polski w chwili decydującej o przyszłości państwa i narodu. Ale „o przyszłości rozstrzyga nietylko ilość zasobów lecz i umiejętność zużytkowania ich.“

Wyjaśnienie tej kwestyi jest w części przedmiotem III-go tomu.

CZY POZYTYWIZM JEST KIERUNKIEM ANTINARODOWYM?

W wydanym świeżo we Lwowie życiorysie pewnego, niedawno zmarłego lekarza-literata znajdujemy następujący ustęp: „Nieboszczyk przez całe życie walczył z antinarodowymi kierunkami: pozytywizmem, materyalizmem i kosmopolityzmem.“

Możnaby tu zapytać przedewszystkiem: czy godzi się podnosić do znaczenia walki porywanie się na zasady i teorye naukowe z garścią czczych frazesów, deklamacyj, oklepanych zarzutów, a w końcu z wymyślaniem od nieuków, fałszerzy prawdy i tak dalej? Rzecz to atoli małej jest wagi i pomijam ją milczeniem. Chodzi mi tu o to, jak wypada rozumieć pomieszczenie w jednym rzędzie kosmopolityzmu z pozytywizmem i materyalizmem? I czy wszystkie te kierunki myślenia rzeczywiście zasługują na to, by je można było w równej mierze zaliczyć do antinarodowych?

Jeżeli mówimy o kim, że walczył z kosmopolityzmem, dajemy przez to do myślenia, że są w naszem społeczeństwie tacy, co wyznają jego zasady. Czy są rzeczywiście? Że nie zbywa nam na osobistościach, dla których dobro kraju jest całkiem obojętne, nikt temu przeczyć nie będzie; ale są to zwykłe sobki, którym chodzi tylko o własny interes. Dobro ludzkości jest tak samo dla nich obojętnem, jak dobro własnego ich narodu. Nazywać więc ich kosmopolitami, jest to okazywać im grzeczność, na jaką zgoła nie zasługują, a cóż dopiero walczyć z nimi słowem i piórem! Żeby zaś mogli wśród nas znajdować się kosmopolici z zasady, o tem pozwalam sobie wątpić. Podczas gdy panował w świecie Heglowski idealizm absolutny, można było w naszem społeczeństwie napotykać takich rarogów, którzy marząc o szczęściu całej ludzkości, zapominali o biedach własnego narodu; ale dzisiaj... gdzie grunt dla kosmopolityzmu? Chyba w ultramontanizmie i w zagorzałym socyalizmie, zamierzającym przeobrazić całą ludzkość podług jednej modły. Występować więc dzisiaj przeciwko kosmopolityzmowi, jako doktrynie, na własnych podstawach wspartej, byłoby co najmniej niewczesnem. Prawdopodobniejszem więc będzie przypuszczenie, że położono kosmopolityzm w jednym rzędzie z pozytywizmem i materyalizmem nie dlatego, żeby wierzono, iż istnieje on sam przez się, ale dlatego, by dać poznać, że wszystkie te trzy kierunki mają być uważane za równoznaczne, że między pozytywizmem a materyalizmem niema żadnej różnicy, że w logicznem następstwie oba wiodą do kosmopolityzmu praktycznego.

Gdyby nie to, że podobne zapatrywanie jest dość rozpowszechnionem, nie zwróciłbym wcale uwagi na nie. W powyższem bowiem zestawieniu trzech kierunków, niemających z sobą nic wspólnego — przebija się więcej złej wiary, niż naiwnego nieuctwa. Że zaś i tego ostatniego jest spora miarka, każdy łatwo się o tem przekona.

Kosmopolityzm jest doktryną czysto polityczną, mającą na widoku cele praktyczne; tymczasem pozytywizm i materyalizm są kierunkami myślenia, którym chodzi o zagadnienia czysto teoretycznej natury. Głównem ich zadaniem — ocenić wiarogodność poznania ludzkiego, wytknąć drogę, którą umysł ma postępować w dochodzeniu prawdy.

Kosmopolityzm jest pierworodnem dzieckiem Heglowskiego idealizmu absolutnego i spekulacyjny jego charakter uwidocznia się tak w założeniu, jak i we wniosku. Wychodzi on z twierdzenia, że człowiek przedewszystkiem rodzi się człowiekiem, a dopiero dalsze, czysto przypadko-

we okoliczności czynią go polakiem, niemcem lub francuzem, że zatem ostatecznym i głównym celem dla niego ma być dobro ludzkości. Otóż zarówno człowiek, jak i ludzkość i jej dobro, będąc logicznem uogólnieniem, są czystemi abstrakcyami. Na innych zupełnie podstawach opierają się pozytywizm i materyalizm. Wychodząc z zasady dziedziczności, utrzymują one, że każdy rodzi się już z pewnym kapitałem doświadczenia uorganizowanego, które go czyni polakiem, niemcem lub francuzem, że zatem nie jest on początkowo czczą abstrakcyą, którą dopiero dalsze życie przetwarza w jednostkę konkretną, ale osobnikiem pełnym indywidualnej, jakkolwiek nierozwiniętej jeszcze treści. Zgodnie z tą zasadą twierdzą one, że jakkolwiek dobro ludzkości winno być ostatecznym celem usiłowań człowieka, cel ten jednakże nie może być inaczej osiągnięty, jak drogą pośrednią, przez pracę pojedynczych ludzi, skierowaną ku dobru własnego ich narodu. Jak bowiem dobro społeczeństwa polega na szczęściu jednostek, na zaspokojeniu wszystkich jego potrzeb fizycznych i moralnych, tak również dobro ludzkości nic innego nie oznacza, tylko harmonię stosunków międzynarodowych, i w oderwaniu od dobra pojedynczych narodów traci wszelkie znaczenie. Słowem, dla pozytywizmu i materyalizmu naród ma takie samo znaczenie, jakie dla zoologa i botanika mają rasy i gatunki. Jest to pojęcie konkretne, które oznacza rzecz istniejącą, konieczną, o ile koniecznymi są fakty przyrodzone, oraz powszechną, jak o tem świadczy historya i etnografia.

Widzimy więc, że ani pozytywizm, ani materyalizm, które się opierają wyłącznie na faktach konkretnych, nie mają nic wspólnego z kosmopolityzmem, który jest czystą ideologią.

Zastanowimy się teraz nad tem: czy słusznem jest utożsamianie pozytywizmu z materyalizmem? Że między obu tymi kierunkami myślenia jest wiele wspólnego, nie przeczymy, z tego atoli nie można jeszcze wnosić o ich tożsamości. Zgadzają się one z sobą w tem, że wszystkie zjawiska zewnętrzne zależą od praw mechanicznych; ale też na tem i kończy się ich zgodność. Od punktu bowiem, gdzie zaczyna się czucie, jako pierwszy objaw psychiczny — rozchodzą się z sobą i do innych dochodzą wyników. Dla materyalizmu czucie i wogóle wszystkie zjawiska psychiczne nie są niczem innem, jak pewnym ruchem cząsteczkowym mózgu; dla pozytywizmu przeciwnie są one zjawiskiem swego rodzaju, któremu ruch cząsteczkowy wprawdzie towarzyszy, ale istoty jego nie stanowi. Zresztą ruch nie jest czem innem, jak pewną formą czucia. Czucie bowiem jest pierwszym i ostatecznym aktem naszej świadomości. Ono jedno znanem nam jest bezpośrednio, wszystko zaś inne poznajemy dopiero za jego pośrednictwem.

Między materyalizmem a pozytywizmem zachodzi jeszcze ta różnica, że pierwszy będąc natury metafizycznej, bawi się w hipotezy i przypuszczenia, których sprawdzić nie można, gdy tymczasem drugi, opierając się na doświadczeniu, posługuje się takiemi tylko hipotezami, które same fakty nastręczają i które nauka w dalszym rozwoju łatwo będzie mogła sprawdzić.

Przechodzę teraz do drugiego pytania: czy jest jakaś zasada, któraby nam pozwalała zaliczyć do kierunków antinarodowych pozytywizm i materyalizm z tąż samą słusznością, z jaką zaliczamy kosmopolityzm? Naturalnie, że mówimy tu tylko o materyalizmie teoretycznym. Praktyczny bowiem jest tak samo przeciwnym społecznemu bytowi, opierającemu się na solidarności w sprawach ogółu, jak kosmopolityzm narodowości, którą znosi z zasady. I w tej tylko mierze można go zaliczyć do antinarodowych, gdyż, ściśle biorąc, samej narodowości materyalizm praktyczny nie znosi i może się z nią pogodzić, jak o tem codzienne doświadczenie nas uczy. Narodowość dla niego jest całkiem obojętną.

Przeciwnicy pozytywizmu i materyalizmu, pojętych jako pewne sposoby dochodzenia prawdy, opierają swe zarzuty na tem głównie, że oba są obce duchowi narodowemu, że przyniesione są skądinąd, nie zaś wysnute z wątku narodowej tradycyi.

Czemże jest ów duch narodowy i tradycya? Jakie ich znaczenie w życiu narodowem?

Że duch narodowy nie jest żadnym duchem przedmiotowym, któregoby naród był wcieleniem, ani też jakąś ideą posłanniczą, przewodniczącą narodowi w jego dziejowym rozwoju — zbytecznem, zdaje mi się, byłoby dziś dowodzić. Naród to organizm społeczny, ale organizm zbiorowy — i tyle tylko posiada żywotności, ile się jej znajduje w sercu składowych jego jednostek. Mądrość i ofiarność jego obywateli jest jedynem źródłem mądrości i dzielności narodu. Im więcej w narodzie jest jednostek światłych, im wykształcenie głębiej wniknęło w masę ludności, tem też i jego duch narodowy jest mędrszy; a przeciwnie staje się tem głupszym, im większy mrok ciemnoty zalega warstwy społeczne.

Duch narodowy jest prostą przenośnią, poetyczną personifikacyą. Nie oznacza on nic innego, jak charakter pewnego ogółu, jego nastrój umysłowy, który się wyrobił na podstawie plemiennego usposobienia pod wpływem dziejowych wypadków. Każdy naród ma właściwą sobie indywidualność — i w danych warunkach inaczej czuje, myśli i działa, niż wszelki inny w tychże samych warunkach. Indywidualność ta, jak indywidualność każdego pojedynczego człowieka, jest uorganizowanem doświadczeniem przodków, odziedziczonem przez żyjące pokolenie. Duch więc narodowy nie jest źródłem, początkiem dziejowego życia narodu, ale jego wynikiem, wytworem wiekowej pracy.

Jest on główną dźwignią życia narodowego, sprężyną wszelkiej zbiorowej czynności. Będąc atoli w gruncie nie czem innem, jak sumą instynktów i prawd intuicyjnych, wyrobionych w jednostkach wiekowem doświadczeniem pokoleń, po za zadania praktycznego życia nie sięga. Gdy chodzi o urzeczywistnienie jakiejś zasady, o zaprowadzenie jakiej zmiany w formach bytu społecznego lub politycznego, wtedy głos jego jest decydującym. Co mu się sprzeciwia, tego on na razie nie przyjmie, nie przyswoi. Muszą wprzód zmienić się jego instynktowe nawyknienia i upodobania, muszą wprzód jego prawdy intuicyjne stracić swój charakter dogmatyczny i pogodzić się z prawdami nowemi, a wtedy dopiero pozwoli on nagiąć się do nowych form, wprowadzić na nowe drogi.

Co do zagadnień naukowych, to o nich duch narodowy nic zgoła nie może stanowić. Na nich bowiem zna się on tyleż, co pierwszy Maciek od koni, lub jakiś hreczkosiej, czytujący tylko kalendarz i książkę do nabożeństwa. Zagadnienia naukowe są natury czysto abstrakcyjnej. Nie chodzi im o cele praktyczne, które muszą się pilnie liczyć z warunkami czasu i przestrzeni, ale o prawdę, która jest jedna dla wszystkich. Prawd wyłącznie narodowych nie ma, są tylko prawdy ludzkie, powszechne — albowiem jedna jest rzeczywistość i jedne i te same są warunki poznania tak dla polaka, jak dla francuza i anglika. Może z czasem okazać się, że to, co uważamy dziś za prawdę, jest fałszem, ale o fałszywości tej nie duch narodowy stanowi, ale głębsze zbadanie rzeczy, zależące od wydoskonalenia metody.

(D. n.).

Władysław Kozłowski.

PIŚMIENNICTWO POLSKIE.

Adam hr. Łoś. **Krakowskie pogadanki.** Kraków, 1885, nakładem autora, I tom 219, II tom 461 w małej 8-ce.

Trudno naprawdę dać dokładne wyobrażenie nietylko o różnorodnej treści tych *Pogadanek*, poruszających niebo i ziemię, żywych i umarłych, ale trudno nawet orzec, jakie właściwie stanowisko zajmuje autor w politycznych społecznych i literackich kwestyach, które tu długo i szeroko roztrząsa. Pan hrabia nie jest Stańczykiem. „Stańczykowstwo — powiada w rozdziale zatytułowanym „O naszej frankomanii"—niczem innem nie jest, tylko stronnictwem czysto arystokratycznem. Nie w katolicyzmie, ale w tej arystokracyi właśnie leży siła tego stronnictwa, bo mnóstwo ludzi, pchanych przez próżność, do niego się garnie, ale że ono szuka pozorów innych i obcych sobie sukni, wpada więc w wieczną obłudę i osłabia się; kiedy arystokracya jawna, a czysto narodowa pozorów nie szuka, mówi to, co chce jasno i otwarcie czerpie siłę z uczuć narodowych, jest bardzo często sympatyczną i pociągającą, bo wtenczas jest siłą, która jest dlatego, że jest. Wobec takiej arystokracyi, tak rzeczy pojmującej, stańczykowstwo niepotrzebne, i wtenczas bylibyśmy uwolnieni od tej całej czeredy tych parweniuszów stańczykowskich, co to ponęta ich przyciągnęła, od tych gorączkowych, drapieżnych, pysznych a obłudnych. Tacy za tą włoszczyzną (tj. za katolicyzmem) przepadają, tak ona im pachnie, bo im wiele rzeczy ułatwia, a gotowi przekręcać wszystko, zdolni do wszystkich paradoksów, a nieproszeni fabrykanci przerozmaitych projektów, a niebezpieczne to figury, a uchybiające, a nerwowe, bo w ciągłym niepokoju zawsze na coś polują; a napysznić się nie mogąc, że się na stańczyków wykierowali, dla niestańczyków bez granic czują pogardę; są to prawdziwe stańczykowskie fanfarony, z zamiłowania dworacy słabej, lękliwej i pozującej arystokracyi." Nie myślcie jednak, że pan hrabia pozbył się tem samem wszystkich narowów arystokratycznych. Próżnowanie uważa za grzech śmiertelny, ale próżnowanie w Karlsbadzie prowadzi wprost do nieba. „Jestem przekonany — powiada w drugim tomie — że gdyby u wrót nieba miał kto jakie trudności z powodu próżniactwa, niech tylko powie, że próżnował w Karlsbadzie, a z pewnością mu je otworzą..." Autor, choć uderza na magnatów, uważa jednak salony i pałace za ogniska oświaty i narodowości polskiej. „Nie przepadnie to miasto—mówi on o Krakowie—bo wyraźnie Opatrzność czuwa nad niem; nieraz zdaje się, że już *cały karnawał przejdzie na niczem*, że nie będzie zjazdu, że kupcy nie zarobią, bo nie będzie balów, ani większych zebrań towarzyskich, bo wiele domów w żałobie, inne za granicą, a więc bieda się znaczy, a tu naraz niespodzianie zjeżdża jaka pani, pełna najlepszych chęci, bez żadnego osobistego interesu, tylko aby drugim przyjemność sprawić i być światu użyteczną i otwiera w swym pałacu cały szereg balów i wieczorów pięknych, eleganckich, których urok podnosi ona jeszcze niezrównaną swoją uprzejmością..." Dawać cały szereg balów i wieczorów eleganckich, to znaczy nie lada być użytecznym światu całemu! W pierwszej pogadance o Krakowie zachwyca się tymi starożytnymi domami, gdzie towarzystwo zachowało się

w *całej czystości*, bez żadnych przymieszek i gdzie ton salonowy jest najwykwintniejszy. Czarujący to na naszych damach sprawia urok, to też każda matka dba o to, aby jej córka w takiej *świętej* szkole wysokiego tonu, choć jedną zimę przebyła. (Porównaj sprzeczne z tem wyobrażenia o damie salonowej I,48). Pan Łoś bije taranem o stańczykowskie mury, ale wierzy święcie w ordynacye i majoraty, „bo są one jak te skarbce, w których składają się po obszarze kraju cząstki różnych bogactw narodowych, mnożą się one tam i w siłę wzrastają i stają się punktem oparcia społeczeństwa.“ Autor jest oczywiście przeciwnikiem drobnych gospodarstw, jego marzeniem są „wielkie całości, ziemie, gdzie się na wyższą skalę gospodarstwa prowadzą, bo ziemia to lubi, odpowiada to jej naturze, która lubi spokój wyższy i szerszy na nią pogląd i za to hojnie się wywdzięcza. Twierdzą ekonomiści, co w swym realizmie wszystko na centnary i funty obliczają, że drobne gospodarstwa więcej produkują i być to może, ale tylko pod względem ilości i wagi; ale narodowi, co ma swoje cele i ideały jeszcze innego rodzaju produkcyi potrzeba, aby ona szła mu w pomoc, *potrzebuje on rasowych i licznych stadnin*, uszlachetnionych zawodów bydła, kroci tysięcy owiec i rozległych i wysokich lasów; drobne gospodarstwa tego nie dadzą, ale przeciwnie, zatracą to z zupełnym upadkiem bogactwa narodowego.“ Pan Łoś, jak jest konserwatystą, a nie Stańczykiem, tak nie jest ultramontaninem, lecz katolikiem, który kocha „drogą osobę papieża,“ ale nie cierpi „papiestwa i kuryi apostolskiej“ nie utożsamia Polski z katolicyzmem, bo „Polska ma zupełnie inne cele i dążności swoje narodowe, katolicyzm zaś, jak to samo nazwisko już wskazuje, jest kościołem powszechnym i z zasady nie zna narodowości.“ Co się tyczy polityki, ta jest Achillesową piętą *Pogadanek krakowskich.*

Cała polityka hr. Łosia zasadza się na „idealizmie narodowym,“ na tem marzycielstwie politycznem, co to przenosi krzykliwego, prawie oszalałego bohatera nad zdolnego i godnego generała, co to nosząc zawsze głowę, ku gwiazdom skierowaną, potyka się co chwila, o zimną materyalną rzeczywistość.

Nie lepiej od społeczno politycznej przedstawia się naukowa strona *Pogadanek*. Że hr. Łoś nie uznaje teoryi Darwina, można było z góry przewidzieć; ale warto posłuchać jego pociesznych argumentów, zbijających te zasady: „Gdyby to było prawdą, co powiada Darwin, że człowiek od małpy (?) pochodzi! Tylko że tej genealogii ludzkiej trudno brać na seryo, bo człowiek każdej chwili dowodzi, że Stwórca po nad zwierzęta go postawił. Gdyby to była prawda, to ten proces wytwarzania się człowieka z małpy (czego naturalnie Darwin nigdy nie twierdził *Red.*) ciągleby się odbywał, wtenczas nieraz nawet osobiście znalibyśmy jakiego pana, którego babka jeszcze małpą była, i złośliwość ludzka z pewnością wytknęłaby mu to bardzo często i bywałyby o to pojedynki, przecież się takie rzeczy nie dzieją i dawne, najdawniejsze nawet pisma o niczem podobnem nie wspominają. Kłopoci się (*sic*) Darwin bardzo o ten brak ogona u ludzi“ itd. Pan hrabia potrafi jeszcze głębiej myśleć, kiedy np. mówiąc o teatrze wogóle, a w szczególności o teatrze krakowskim, jako tradycyjnie idealnym... zastanawia się nad tem co by to było, gdyby nie było — śmierci. Widzi on bowiem w śmierci „źródło wszelkiego życia i wolności i gdyby ją Bóg skasował, to byłby koniec świata; zostałyby same stare cyniki, bo ludzie musieliby przestać się rodzić, przepadłaby młodość, która jest matką wszelkiej wiary, a wiara źródłem wszelkiego życia. Wtenczas nastałyby straszne czasy: ktoby był u władzy, zostałby przy niej na całą wieczność, bo kary za bunt byłyby okropne i na samą myśl o nich włosy stawałyby ludziom na głowie; i struchleli od strachu, upodleni, lizalibyśmy stopy naszych tyranów, bo lada dozorca mógłby nas wrzucić do lochu na kilka wieków i bez końca okropnie pastwić się nad nami“ itp. Autor nie jest oczywiście socyalistą. „Falanstery — to, zdaniem jego, najobrzydliwszy projekt klasztoru, jaki kiedykolwiek zaświtał w chorobliwej ludzkiej imaginacyi. Klasztor chrześciański jest otoczony poczyą, bo oparty na ideale, ale taki falanster to byłby dom, gdzie przerabianoby ludzi na zwierzęta i ohydna byłaby to instytucya.“ Ale chociaż nie jest socyalistą, posługuje się nihilistycznymi środkami, dla obalenia tych socyalistycznych form. „Nie ulęknę się wcale falansterów — i jakkolwiek przy tej zmianie więcej bym może zyskał, jak stracił, to przecież gdybym się nagle znalazł w takim zakładzie, urządziłbym natychmiast spisek na jego obalenie, a ochotników z pewnością by mi nie brakło. Uwięzilibyśmy zaraz dyrektora falansteru, a zabrawszy z sobą kucharza i szafarza, żeby już więcej więziennego jadła nie gotowali, uformowalibyśmy się w oddział i poszli w świat szukać różnych awantur, rycerskich przygod i chwały wojennej. Zdobywalibyśmy inne falanstery, nowe państwa zakładali, oczywiście konstytucyjne, a w razie potrzeby, gdybyśmy się spotkali z jakimi fanatykami falansterowymi, palilibyśmy, niszczyli i rabowali raczej, aby tylko takiej nędznej egzystencyi uniknąć.“

W tym chaosie, w tej gmatwaninie najsprzeczniejszych pomysłów, rozpływających się w wodnistym sosie nieznośnego gadulstwa bez końca, widzisz tylko sentymentalno-ckliwy idealizm rycerskiego hrabiego, który pomiata wszystkiem, co realne, rzeczywiste, a tęskni w swem marzycielstwie o „dziwnych niepojętych“ rzeczach. Oto np. jego plan ogrodu miejskiego w Krakowie. Park ten ma być „nie sztuczny, ani czysto europejski tylko w naszym własnym stylu, sielski, smętny, narodowy i historyczny. W tym parku niechby były porozrzucane laski i gaiki, i w jednym z takich mógłby być jakiś dworek Zosi pod słomą i w nim kilka niewielkich pokoi o woskowanej posadzce i skromnych meblach, a na jakiej komodzie, jak chciał Mickiewicz, stałby taki zegar staroświecki, co przy godzinie zagrałby mazurka Dąbrowskiego. Ta Zosia mogłaby mleko sprzedawać, i w tych skromnych pokoikach gościom go (!) podawać.“ Stamtąd idzie ścieżka do gaiku klasyków, obok byłby gaik romantyków, i odwiedzilibyśmy czasem Krasińskiego i Słowackiego, co w ciemnych zaroślach świerkowych, siedząc na skale, trzymając się za ręce, gwarzyliby o Polsce, o Niebie, o nieskończoności. Tam znów dalej płynąłby jakiś strumyk a oko dostrzegłoby księcia Józefa na koniu, bo jakże bez niego obejść by się mogło. Na ustroniu, w bardzo zacisznem miejscu, stałby mały domek z brzozowych okrąglaków zbudowany: toby była Sybilla, świątynia polskich pamiątek, tam byłoby wszystko, co do nas mówić umie, co nas rozczula: tak ryciny, tak kopersztychy wojsk polskich, wizerunki naszych pisarzy; może drezdeński pokój Kraszewskiego choćby w zmniejszonej postaci dla pamiątki — *i więcej nie trzeba nic.* Tylko żadnych tam tegoczesnych ornamentów, których już dość mamy, bo popsułoby to zupełnie tę smętną, melancholijną harmonię, która ludzi czarować będzie; lepiej niech się cicha krówka pokaże, będzie tam żyć jaka uczciwa familia, co ją magistrat wyszuka do pilnowania tego wszystkiego, to ona da jej mleka i dobrze im z nią będzie...“ Dwór szlachecki — to naturalnie ideał dobroci, prawdy i piękna, ale tylko wtedy gdy jest — *pod słomianą* strzechą. „Gdyby to one wszystkie (te dwory) chciały być *pod słomą* — tak modli się pan hrabia — ale nie z biedy broń Boże, tylko dlatego, że tak dawniej bywało. Niechby stajnie były pod dachówką, albo pod gontem, ale ten dworek obywatelski to ustronie polskiego idealizmu, niechby było *pod strzechą*. Ilekroć zajeżdżaliśmy pod taki dwór *słomą* poszyty, uczuliśmy zawsze jakieś tchnienie głębokiego uszanowania i tak przekonani jesteśmy, że to (tj. ta słoma) szczęście niesie i szacunek u ludzi, że jeżeli to już z wymaganiem naszej cywilizacyi się nie zgadza, to bym chciał wynaleść przynajmniej jakąś imitacyę *tej kochanej słomy*...“ Kobieta przybiera w fantazyi hr. Łosia wszystkie wymarzone zalety egzaltacyi, miłości, poezyi — ideału. „Wszystko to, czem ludzka wiedza rozporządza, składa się tam do wielkiej, poetycznej harmonii i tworzy ideał i widzialne marzenie. A muzyka to wszystko podnosi; bo kobieta z muzyką wybornie się łączy i ja sądzę, że za pomocą kobiet o różnym rodzaju piękności, któreby się kolejno grupowały i odpowiednie przybierały pozy, możnaby dać wyobrażenie czyli artystyczne pojęcie o jakiej sonacie Beethovena lub symfonii Szopena. Wogóle delikatne białe blondynki to symfonie i sonaty; nokturny to brunetki.“ „W życiu towarzyskiem jest kobieta szczególną istotą, jej czarodziejstwo nie wyczerpane i w pustyni nad Donem i na włoskich bulwarach i jest ona na świecie jak słońce, jak kaskada w ciemnym parku, jak zwierciadło wody w ponurej kniei, jak lilija w ogrodzie, jest ona ideałem w życiu, a romantyzmem w przeszłości. Kobietę wymalować wszędzie jest dobrze; czy na obrazie, czy na ścianie, *czy na suficie*, jak kwiatek, bo jest ona kwiatkiem żyjącym, bez niej nic zupełnego w świecie być nie może, bo jest ona światłem bengalskiem co tysiącznymi kolory scenę życia ubarwia...“ „Kobiety dzielimy na dwa rodzaje: na białe i czarne; biała to jakby lilia, jak strój brylantowy; czarna to jakby jakie cacko misterne i zadziwiające, jakie dzieło sztuki z hebanu, perłowej macicy, srebra, korali i kości słoniowej; wszystkie zresztą inne kobiety do jednej lub drugiej klasy zaliczyć można. Kobieta prawdziwie w wielkiem, estetycznem znaczeniu tego słowa musi być blondynką (!); pojął to i Rafael i dlatego jego Madonny wszystkie (?) mają blond włosy. Polki to także pojąć musiały, bo tu w Krakowie znamy takie trzy, są one żywe i młode, a ubrać je stosownie i uczesać i postawić na piedestale, a gotowo greckie statuy...“ *).

H. B.

TEATR.

Dora, komedya w 5 aktach Wiktora Sardou. — Poranek benefisowy p. Ładnowskiego.

Gdy Brandes z powodu Scribego mówił niedawno z katedry o popularności pisarzy średniej miary, opartej na przymierzu zręczności z tuzinkowymi gustami ogółu — było to dla mnie przepowiednią dla niektórych francuskich „majstrów“ a zwłaszcza dla Sardou i Ohneta, którzy odgadli tajemnicę robienia utworów pokupnych. Słuchając teraz *Dory* (*L'espionne*), napisanej przed kilku laty, przekonałem się, jak szybko takie płody marszczą się od starości lub pękają, niby obrazy pospiesznie, na efekt, *siccativą* malowane. Sardou — talent bardzo zręczny, ale płytki, nie posiada daru drążenia tematów prostych, nie umie trafić na głębszy nurt pod zewnętrzną falą życia, ale często sili się na wyszukanie nowych i ciekawych zawikłań.

---

*) W przytoczonych przez sprawozdawcę wyjątkach, owe *Pogadanki* trącą niewinnym bzikiem. *Red.*

Przedmiotem *Dory* jest sytuacya zupełnie wyjątkowa. Młode małżeństwo łączy się z miłości, a w godzinę niemal po ślubie mąż słyszy z ust zacnych i wiarogodnych słowa, będące piętnem hańby dla jego ubóstwianej. Nie myślcie jednak, że była ona rozpustnicą, że upadła w bezwstydzie—nie, tylko istnieją wszelkie poszlaki, że jest tem... co wskazuje powyżej ujęty w nawias francuski tytuł sztuki... Ona dziewica pełna uroku, dobra, kochająca z ogniem południowym, szlachetna — ona opiera podłą egzystencyę na nieszczęściu innych, na gubieniu ludzi, przez tajemne denuncyacye? Nietylko autor tak zaplątał pozory, że istotnie margrabianka Riros-Zares, córka generała paragwajskiego, który robił nawet rewolucye na drugiej półkuli, posądzoną jest o to, że z biedy chwyciła się środka zarobku, który jest ohydniejszy, aniżeli zwykły frymark miłością... Rozumie się, że takie zawikłanie możliwem jest tylko w sferze wyjątkowej, w stosunkach, o których u nas nie mamy pojęcia. Są to towarzyskie szumowiny, kręcące się za kulisami parlamentaryzmu. Kobiety, spotykane w sztuce, należą do tych „cudzoziemek" awanturnic, które snuły się po Wersalu podczas przebywania tam Izby prawodawczej francuskiej. Łowiły one w mętnej wodzie miłostek lub awantur tajemnice polityczne, aby je potem sprzedawać za wysoką cenę takim niby agentom dyplomatycznym, jak baron Van-der-Kraft, przedsiębiorca dostawy tego towaru tak pożądanego przy różnych gabinetowych szacherkach. Ożenić się z podobną kobietą—straszliwy cios dla takiego człowieka, jak p. Maurillac, dyplomata, służący uczciwie swemu krajowi i obdarzony zaufaniem w ważnych rokowaniach Francyi z Włochami... Nic więc dziwnego, że gdy bohaterka sztuki stanęła wobec męża w tak wątpliwem świetle, wybuchnął z tego powodu gwałtowny dramat małżeński, tem bardziej, że zaraz po ślubie zginęły panu młodemu ważne papiery. Właściwą jednak sprawczynią występków, o które oskarżają Dorę, jest rzeczywiście prowadząca ohydne rzemiosło awanturnica hr. Żiska, która łączy zysk z zemstą osobistą i rzuca bardzo sprytne podejrzenia na Dorę, pragnąc rozerwać jej związek ze swym dawnym kochankiem. Autor wysnuł z tego kunsztownie przez pięć aktów prowadzoną intrygę, zakończywszy ją naturalnie wyjaśnieniem winy intrygantki i oczyszczeniem bohaterki... Słuchacz z góry przewiduje ten rezultat, chodzi więc tylko o sposób, w jaki rozwiąże się szarada. Sardou robi to jak mistrz mechaniki scenicznej, chociaż tu zanadto jawnie ukazał przed publicznością tajemne sprężyny sztuki, ukryte przed jej działaczami. Gdyby rzucił nieco zasłonę na niektóre postępki hrabiny Żiski, nadałby komedyi więcej nerwowego rozciekawienia. Rozumie się, że logika rozwoju akcyi, jak zwykle w jego utworach, jest słabą. Postanawia on sobie *coute que coute* przeciągnąć wątek sztuki, więc zczepia jej części bodaj błahemi ogniwami. Jedno naprzykład rozumne a konieczne w danym razie zapytanie męża wyjaśniałoby sytuacyę odrazu, ale komedya musiałaby się w takim razie urwać na akcie trzecim. Cała scena pomiędzy małżonkami w akcie czwartym prowadzona efektownie, ale fałszywie, gdyż mąż, wbrew zwyczajowi ludzi zakochanych, wierzy nienaturalnie w poszlaki oskarżające żonę, i niewiadomo dlaczego popisuje się z chęcią samobójstwa. Gdyby naprawdę chciał sam się wyprawić na pola elizejskie, nie gadałby o tem z takim patosem.

Jak w poprzednich aktach grały ważną rolę kluczyki, zamki i kuferki, fotografie z podpisem, tak znowu w ostatnim rozwiązanie sztuki oparte jest na przypadkowym figielku. Gdyby hrabina Żiska nie lubiła silnych perfum, a p. Faverolles nie miał drażliwego powonienia, nie domyśliłby się, że sprytna „l'espionne" szperała w papierach, aby się dowiedzieć o skutkach swej intrygi.

Zdemaskowanie tej pani pełne dowcipu przynosi zaszczyt pomysłowości autora, której powinienby mu niejeden sędzia śledczy pozazdrościć. Charakterystyka figur, jak zwykle, płytka, oparta na rysach zewnętrznych, gdyż Sardou w subtelne analizy uczuć i namiętności nie lubi się bawić. Najwięcej życia i logiki ma Dora, łącząca szlachetną prostotę charakteru z południowym ogniem; jej małżonek jest bladym i niekonsekwentnym, a Żiska pospolitą postacią intrygantki. Szczęśliwie za to wychodzą zgrabnie szkicowane figury drugoplanowe, z pomiędzy których najsympatyczniejszym jest Faverolles, pełen werwy, sprytu i elegancyi.

Całość pod względem psychicznym, ani myślowym nie olśniewa niczem nadzwyczajnem, ale jest sztuką teatralną, pisaną zręcznie, chociaż w późniejszych utworach dramaty małżeńskie są już daleko efektowniej wyzyskane. W główną postać panna Marcello tchnęła prawdziwe i gorące uczucie, a dramatyczną scenę aktu IV odegrała silnie z p. Ładnowskim, który swą pospolitą rolę podniósł i ożywił przez grę dobrze odczutą i zaciekającą jej sprzeczności. Pani Lebrun nie mogła z odpowiednią wyrazistością oddać trudnej roli Żiski, gdyż warunki artystki nie nadają się do dramatycznego tonu, ale widać było w tej grze dużo pracy i dobrych chęci. P. Niewiarowska sympatycznie grała rolę matki, nadając jej odpowiedni charakter, z właściwym odcieniem humoru. Prawdziwą zaś okrasą sztuki była żwawa, pełna błyskotliwej werwy gra p. Tatarkiewicza, który t. zw. role *raisonneur'ow*, ostatnimi czasy doskonale traktuje.

Pożegnalnym przebłyskiem naszej wędrownej „gwiazdy" był jej występ na poranku benefisowym p. Ładnowskiego, który ukończył ćwierćwiekową działalność sceniczną. Artystka wskrzesiła nam znowu postać obłąkanej Ofelii, może nie z takim jak dawniej urokiem świeżości, ale z tem mistrzowstwem efektów i pewnością traktowania, jaką sobie zdobyła ostatnimi laty. Dawniej działała głównie wdziękiem, dzisiaj siłą uczuć, a kto słyszał jej śmiech obłędny, budzący dreszcze zgrozy, ten spamięta go na zawsze. Po fragmencie z tragedyi Shakespeare'a zaśpiewał pięknie p. Seidemann, zaszczebiotała panna Czaki a następnie panna Marcello z p. Kotarbińskim odegrali fragment z tragedyi Hebbla *Judyta* w przekładzie p. Kaszewskiego, który prozę oryginału zmienił na jędrną mowę wiązaną. Pomimo pompatycznej, oraz w kilku miejscach mglistej retoryki, ustęp ten tętni dramatyczną siłą i pociąga urokiem poezyi. Pamiętając o tem, wykonawcy miejscami może zbyt wysoko podnieśli ton gry, oddali jednak dobrze starcie się męzkiej potęgi fizycznej, wybujałej we własnem zaufaniu, z siłą moralną słabej kobiety, którą do strasznego czynu zagrzewa wysokie posłannictwo. Panna Marcello w roli Judyty nie zdobyła się może na styl tragiczny, nie utrzymała konturów szeroko kreślonej postaci, ale błysnęła potężnym nastrojem uczucia i siłą zgłębi duszy dobytą. Posiadając takie zasoby, można się pokusić o tragiczne role; dlatego też artystka nie powinna się zrażać niedorzecznymi sądami jednego z recenzentów, który nie mając najmniejszego poczucia szlachetniejszych rodzajów w sztuce, umie tylko czapkować uznanym i okadzonym wielkościom, a nie ceni wartości talentów żywotnych i silnych, choćby jeszcze nie zdobyły sobie rutyny i techniki.

W drugiej części widowiska usłyszeliśmy fragment z *Mizantropa*, w którym p. Rapacki odtworzył szczęśliwie słynny typ Molierowski a sam beneficyant wypowiedział wielki monolog Gustawa z IV części *Dziadów* Mickiewicza.

Pod względem scenicznym nie mógł być oddany ten ustęp zgodnie z oryginałem, a izba plebana wiejskiego z gronem dzieci zamieniła się na las, po którym błądził upior mężczyzny w blaskach księżyca. Oczywiście potrzeba pewnej pobożności dla arcydzieł poezyi niepisanych dla sceny, aby mógł się podobać wielki monolog, pełen wprawdzie pierwszorzędnych piękności ale rozciągnięty na dwadzieścia minut!

Taką pobożnością nie grzeszy publiczność, ale posiada ją artysta, który zaklął w spowiedź Gustawa tęskne, bolesne uczucie i tę skupioną melancholię, jaka stanowi jeden z przymiotów jego talentu łączącego głębokość z niepospolitą inteligencyą.

P. Ładnowski jest zawsze marzycielem i estetykiem w grze, powleka swe postacie idealną gazą, przekładając harmonię ogólną nad pojedyncze świetne wybłyski. Od lat paru dopiero pracuje dla naszej sceny, na której niema sposobności rozwinięcia wpełni właściwego sobie kierunku. Role Otella, Hamleta, Romea, Zbigniewa w *Mazepie* i Botwela w *Maryi Stuart* zapewniają mu i nas wybitne stanowisko wśród celniejszych przedstawicieli sztuki dramatycznej. Na scenach galicyjskich zdobył sobie główne uznanie świetnem odtwarzaniem postaci romantycznych marzycieli takich arcytrudnych ról, jak hrabia Fantazy w *Niepoprawnych*, albo Fernand w *Księciu Niezłomnym* — w których jego idealizm aktorski wznosił się do mistrzowstwa.

S. K.

LIBERUM VETO.

Pudełko grające dwie melodye. — Nadmiar i niedomiar. — Rodowa cnota. — Woda jako przyczyna niedostatków naszego przemysłu. — Cuda natury. — Znowu p. Hartmann i jego wodowstręt. — Heine o szponach orła. — Pobudka do obławy. — Rzeź projektów na pomnik Mickiewicza. — Jasne uwagi Prusa. — Pomnik naiwności. — Chwile dobrego humoru i pisanie od ręki.

Życie nasze podobne jest obecnie do grającego pudełka, na którego walcu nabite są ćwieczki dwu melodyj: jedna wygrywa skargi na nadmiar wielu produktów i brak zbytu, druga zaś—na nadmiar produktów, sprowadzanych z zagranicy, które mogłyby i powinny być wytwarzane w kraju.

Ziemianin utyskuje: mam pełne śpichrze pszenicy, żyta i owsa, a tu nikt nie chce zboża kupować—co robić?

Fabrykant płótna: magazyny towarem zapełnione, nabywców nie ma—co robić?

Właściciel kuźnic: obstalunki zmniejszyły się, robotników trzeba odprawić—co robić?

To są motywy jednej pieśni żałosnej.

A druga znowu lamentuje:

Kwiaty, kołnierzyki, krawaty, zabawki, piwo, papier listowy, spinki—cały legion wszelkiego rodzaju wyrobów przywozimy z Niemiec i Francyi, opłacając olbrzymie cła.

Jak pogodzić tę sprzeczność? Oh, posiadamy szacowną i od wieków przechowywaną cnotę, która nam dostarcza klucza do rozwiązania zagadki—posiadamy mądrość... po szkodzie. Gdy nam już niemcy i francuzi ściągną dziesiątą skórę, gdy nas obedrą do syta za zapułki lub portmonetki, zaczynamy wędrówkę po rozum do głowy i uznajemy, że wartoby założyć inną fabrykę, nie taką samą, jak stojąca przy sąsiedniej ulicy. Naturalnie często się zdarza, że na tym nowym pomyśle kilku pierwszych niedoświadczonych kark skręci, dopiero piąty lub dziesiąty, sprowadziwszy sobie niemca lub anglika, zacznie robić majątek, zawzięcie przez syna trwoniony. Jeżeli zaś wieść o tym majątku rozbrzmi

głośniej i jeżeli go np. dała fabryka gwoździ, można być pewnym, że fabryki gwoździ będą rosły jak grzyby po deszczu i że w nich na długo zamknie się przemysłowa wynalazczość kapitału.

Tymczasem np. w kraju, który ma nadmiar zapasu jęczmienia i wyborny chmiel, browar wiedeński sprzedaje piwo, w kraju, który posiada obfitość doskonałych szmat, papier listowy musi być sprowadzany z Niemiec i Anglii. Czy też uwierzysz czytelniku, że nasi nakładcy, chcąc wydać książkę wytworniej, drukują ją w Białej (galicyjskiej), na papierze, rozumie się, austryackim, do oprawy zaś posyłają do Lipska, a wszystkie przesyłki i opłaty nie dosięgają tej cyfry kosztów, jaką by w Warszawie ponieść trzeba za wyrób daleko gorszy! Gdy spytasz naszych przemysłowców, czemu ich produkty są liche w porównaniu z zagranicznymi, zwykle usprawiedliwiają się jednym wyrazem: „woda.“ Skutkiem złej wody nie mamy ani dobrego piwa, ani papieru, ani farb, ani zabawek dziecinnych, ani itd. W gubernii łomżyńskiej istnieje browar, którego wyroby uchodzą u nas za najlepsze. Naturalnie zawdzięczają one swą wartość—studni. Co za dziwny kaprys natury! Na całym obszarze Królestwa polskiego umieściła ona tylko jedno źródło wody dobrej dla piwa! Kaprys ten jest rzeczywiście fantastycznym, bo często z tej strony granicy jest woda zła, a z tamtej, tuż za kordonem—wyborna. Jak tu zmieniać systemy gospodarstwa i rolnictwo zastępować przemysłem! Czy podobna nie sprowadzać tylu rzeczy z zagranicy, która ma tak wyborną — wodę? Nasza fatalna — rozpuszcza w sobie niedołęstwo.

Uczuł do niej widoczny wstręt p. Hartmann, który dostał napadu politycznej wścieklizny. Ogłosił znowu artykuł, w którym poprawił się—już nie poprzestaje na Poznańskiem, ale chce i Królestwo polskie *ausrotten*. Przypomniał sobie zapewne, że w kuchniach naszych rozmnożone są obficie prusaki, będące *kulturträgerami* i stanowiące kolonizacyę giermańską, którą utrwalić należy i która przedstawia dostateczny powód do zaboru. Teraz dopiero rozumiem, na czem szan. filozof oparł swoje twierdzenie, że słowianie „tępią“ i „wypierają niemieckość.“ Rzeczywiście kucharki nasze są nielitościwe względem tych hartmaników i stosują do nich prawa wyjątkowe. „Zawsze z niepokojem patrzę na pruskiego orła — pisał Heine — i podczas gdy inni chwalą, jak on śmiało patrzy w słońce, ja tem uważniej przyglądam się jego szponom. Nie wierzę prusakowi, temu wysokiemu, pobożnemu bohaterowi w kamaszach z szerokim żołądkiem, wielką gębą i laską kapralską, którą naprzód w wodzie święconej umoczy, zanim nią uderzy. Nie podobało mi się to filozoficzno-chrześciańskie żołdactwo, ta mieszanina piwa, kłamstwa i piasku. Wstrętne, głęboko wstrętne były dla mnie Prusy, te sztywne, obłudne i pozornie religijne Prusy, ten świętoszek między państwami... Patryotyzm niemców polega na tem, że jego serce zwęża się, kurczy, jak skóra na zimnie, że on nienawidzi wszystkiego, co obce, nie jest obywatelem świata, ani europejczykiem, lecz chce być tylko ciasnym niemcem.“ Takim tępym, bezwrażliwym na cudze prawa, takim pazurem orła pruskiego jest p. Hartmann. Teraz dopiero twierdzenie Dühringa, że cała *Filozofii nieświadomości* była „szwindlem,“ nabiera prawdopodobieństwa. Myśliciel bowiem głęboki, uniesiony po nad walkę nędznych i samolubnych instynktów, przebywający w sferze umysłowej, w której nikną różnice plemienne i polityczne wścieklizny, nie wyda z siebie nigdy takiego wilczego ryku. Na to potrzeba być spekulantem, grającym na giełdzie powszednich, mizernych namiętności. I niewątpliwie p. Hartmann nim jest. Ze swojej „nieświadomości“ nic on już, nawet krzykliwego głupstwa wydobyć nie może, filozoficzna jego beczka, z której toczył i sprzedawał „napój śmierci“ — pusta, więc wziął się do przyprawiania wzbudzających apetyt narodowy a mile odurzających trunków. Świat przedstawia mu się jako las, podzielony na dwie części: jedną, w której niemcom polować wolno, i drugą, w której — nie wolno. Ponieważ w tej ostatniej jest jeszcze zwierzyna, więc on pobudza swych ziomków do obławy, pieszcząc ucho nadzieją usłyszenia głosu biegnących za tropami ogarów. Żydzi — to lisy drapieżne, więc ich naprzód wytępić trzeba, zwłaszcza, że mają cenną skórę; polacy — to jelenie i sarny — ich mięso dobre, ale należy celnie strzelać.

Do takiej to rozrywki wzywa filozof niemiecki swój naród, o którym przed paru tygodniami jeszcze p. Windhorst z dumą powiedział: *deutsch heisst gerecht*. A *gerecht* jest to taki zapewne człowiek, który obwiesi się skalpami.

Obwieszony nimi jest obecnie każdy krytyk projektów na pomnik Mickiewicza. Sądząc z rzezi, na szczęście dotąd bezimiennych, uczestników konkursu, należałoby przypuścić, że jego komitet będzie miał dosyć sposobności do uwydatnienia swej kompetencyi na pracy jakiegoś nowego Dykasa. W każdym razie chleb z tej mąki nie zapowiada się—tak dalece, że ktoś w pismach radzi wszystkie projekty wrzucić do jednego tygla, wytopić z rudy szlachetny kruszec i odlać z niego pożądany model. Jeszcze radykalniej rozcina kwestyę Prus w *Kuryerze warsz.*: „To nawarzyli piwa! — powiada on — Przypuśćmy bowiem, że z pomiędzy nadesłanych modeli jeden zostanie uwieńczony, wykonany i ustawiony w rynku... Co z tego?... Ha, Kraków zyska jeszcze jedną pamiątkę: posąg z twarzą Mickiewicza, stojący na kolumnie okrągłej lub wielościennej, opartej na kwadracie lub ośmiokącie. Dobrze, ale co dalej? Czy ten posąg będzie odbiciem wizerunku poety, jaki każdy z nas nosi w duszy, czy może dopełni nasze wyobrażenia pod tym względem?...

Bynajmniej. Dla nas Mickiewicz to nie mężczyzna z faworytami, w takim czy innym płaszczu, ale— to *Pan Tadeusz*, to *Sonety*, to *Walenrod*, to — słowem, poematy, które on wyśpiewał. Gdzie zaś jest rzeźbiarz, który potrafi w stylu greckim, czy nowożytnym, w marmurze, czy brązie, odtworzyć wszystkie postacie, barwy, głosy, myśli i uczucia oznaczone jednym wyrazem: Mickiewicz? Czy zresztą rzeźba, a nawet malarstwo, posiadają *choć odrobinę* środków niezbędnych do wykonania tego?

Dla rzeźbiarza tematem jest ludzkie ciało i jego ruchy. Chłopak, jadący na rozbrykanym koniu, rzeźnik, który pasuje się z wołem, dwu pijaków, ciągnących się za bary, są milion razy więcej warci dla rzeźbiarza, aniżeli wszyscy poeci, muzycy i uczeni całego świata.

Bo jak tu wyrzeźbić np. poetę i w jakiej chwili: czy w tej, kiedy schylony nad biurkiem — pisze, czy w tej, kiedy paląc fajeczkę — marzy? Czy otoczyć go rojem serc, które zapalał, czy legionem postaci, jakie skomponował? Czy ubrać go w togę, której nigdy nie nosił, czy w płaszcz, w jakim dziś chodzą tylko furmani? A może całkiem go rozebrać i zdumionym widzom ukazać jego chude żebra i nogi, jak u koguta?

A tymczasem kraj, wezwany do składek, złożył przeszło sto tysięcy guldenów, czeka na spełnienie obietnic i łudzi się, że mu choć na krakowskim rynku pokażą Mickiewicza tego, o jakim marzył i jakiego podziwiał. Zobaczywszy zaś kamienną czy spiżową lalę, z niesmakiem odwróci oczy i powie:

— Na tożem się składał, aby mi w brutalny sposób zatarto ten posąg poety, jaki on sam zbudował sobie w mojej wyobraźni?...

Oto skutki projektów, *rzuconych od ręki*, w chwili *dobrego humoru*. *Gdyby nawet* między modelami znalazło się arcydzieło, o którem zresztą nie słychać, to jeszcze i ono będzie tylko *karykaturą naszych* idei o Mickiewiczu.“

To przynajmniej powiedziano jasno! Z tej jasności wypada, żeśmy zrobili kapitalne głupstwo, powziąwszy „w chwili dobrego humoru“ myśl postawienia Mickiewiczowi pomnika, który nawet jako „arcydzieło“ sztuki będzie tylko „karykaturą“ poety. Jeżeli więc komitet nie odeśle natychmiast 100,000 złr. składek, wystawi pomnik, ale swojej i swojego narodu naiwności. A ta tylko pozostanie nam pociecha, że Kopernik przed pałacem Staszyca z pewnością do wielkiego astronoma niepodobny, a jednak go cierpimy, i że dla zadowolenia Prusa należałoby zniszczyć wszystkie posągi świata — chyba że ten świat chce być również głupi i mieć „chwile dobrego humoru,“ których szan. kronikarz tym razem nie miał. Ale za to swoje uwagi „rzucił od ręki.“

Poseł Prawdy.

NA WIDNOKRĘGU.

Uczucie trzęsienia ziemi. — Niepewność jutra.—Sprawozdanie korespondenta *Gazety polskiej*. — Włościanie i lichwiarz zyskujący na przesileniu. — Znak zapytania. — Żywioł, który zawsze milczy. — Uwaga dziecka. — Dziwolągi ustroju. — Polowanie w Opatowskiem na głupich.

Naturalnie owe „Hiobowe wieści,“ o których mówił wstępny artykuł zeszłego numeru *Prawdy*, mnożą się ustawicznie. Podwyższenie ceł od zboża na komorach niemieckich przebiegło dotkliwym dreszczem po nerwach ziemiaństwa. Tego ciosu albo niespodziewano się, albo niespodziewano się tak prędko. I gdyby to był przynajmniej koniec przeciwności! Rolnik nasz — o tyle szczęśliwy, że nie on sam — może słusznie zawołać: kiedyż spadnie cios ostatni! Dziś doznaje on uczuć człowieka podczas trzęsienia ziemi: drgnęła ona kilkakrotnie, zwaliła domy i gmachy, ale czy nie targnie się znowu, jutro, pojutrze, czy nie przewróci nawet tego baraku, pod który jej ofiary się schroniły? Wtedy każdy ma jedno tylko pragnienie: żeby klęska już raz wywarła całe swoje okrucieństwo i pozwoliła w spokoju rozpocząć naprawę spustoszeń! Tej pewności ziemianie nasi nie mają. Dziś niemcy ścisnęli nasz handel zbożowy cłami, ale kto wie, co jutro przyniesie?

Zmniejsza się też szybko zastęp naiwnych, wierzących, że „przecież kiedyś złe minie i nastaną lepsze czasy,“ a ton narzekań potężnieje. Każdy list z prowincyi, każda korespondencya w gazecie jest skargą na zastój i ogólny upadek dobrobytu. Z wielu głosów przytoczymy jeden za *Gazetą polską* z gubernii wołyńskiej. Według autora jest to trzeci przełom w ostatniej ćwierci bieżącego stulecia. Naprzód po r. 1863 skutkiem ówczesnych wypadków i reform rolnych cena ziemi średniego gatunku spadła do 15 rs. za „diesiatynę,“ cena zaś ziarna ozimego do 60 i 50 kop. za korzec. Kredyt prawie znikł i udzielany bywał tylko na zastawy. Wydane wszakże Listy likwidacyjne, chociaż nie miały ustalonego kursu i nie stanowiły równoważnika wartości ziemi oddanej włościanom, posłużyły jednak za deskę zbawienia od powszechnego bankructwa.

Po wojnie rosyjsko-tureckiej, skutkiem obniżenia się kursu rubla, bieda znowu zajrzała w oczy. Ale ponieważ — jak twierdzi korespondent *Gazety* — „złe wy-

chodzi niekiedy na dobre, spekulacye więc giełdowe (zagraniczne) posłużyły pośrednio do obudzenia w naszych okolicach (na Wołyniu) ruchu handlowego i pieniężnego. Kupcy zagraniczni, płacąc nam pieniędzmi papierowymi (które nabyli tanio) za zboże i inne wywozowe przedmioty handlu, podnieśli zarazem ceny tych produktów w kraju. Że zaś popyt z zagranicy w ciągu kilku lat z rzędu był silny, wzrosły więc jednocześnie ceny ziemi i jej dzierżaw. Za „dziesiatynę“ nabywcy płacili w gub. wołyńskiej nawet od rs. 50 do 150, a dzierżawcy od rs. 5 do 9 i wyżej.“

Od lat dwu popyt za granicą na ziarna nasze ustał niemal zupełnie. Wyjątkowo urodzajny rok przeszły dał obfite plony, ale nie było kupców, nietylko na zboże, lecz także i na inne produkty rolnicze: smołę, dziegieć, wełnę itp. Zwłaszcza tedy gospodarstwa większe zostały bez środków. Pierwsi padli ofiarą dzierżawcy, za nimi idą posiadacze ziemscy i fabrykanci, a ponieważ w społeczeństwie jedna warstwa oddziaływa na drugą, więc przesilenie ekonomiczne ogarnęło wszystkie. Pośród tej powszechnej klęski, oprócz lichwiarzy, którym ona napędziła ofiar, wzmógł się — według korespondenta — tylko stan włościański. „Włościanie, uprawiając swoje pola, pracą własną i rodziny, bez pomocy najmu, mogli i mogą sprzedawać przekupniom swoje płody tanio — bo w ich cenie nie liczą swej pracy, którą na własnem gospodarstwie nie umieją szacować i mają za nic — chociaż ją przy najmie procentują nadmiernie. Przytem, poprzestając w życiu codziennem na zaspokojeniu pierwszych potrzeb i nie ponosząc żadnych prawie wydatków na wykształcenie młodzieży, wpływają też bardzo niedostatecznie na ruch handlowy, który, bez uczestnictwa klas innych społeczeństwa, rozwijać się wcale nie mógł.“

Zdanie to słyszymy wypowiadane często, chociaż jego słuszność nie stoi po za wszelką wątpliwością. A jednakże wartoby wiedzieć, jak obecnie przesilenie ekonomiczne odbija się na dobrobycie ludu, co o niem mówi chłop polski? Jak zwykle, jak od wieków, żale swoje wygłasza, potrzeby przedstawia i ubytki zapisuje tylko oświecona część narodu, tj. szlachta, lub—ściślej mówiąc—posiadacze większej i średniej własności ziemskiej. Lud milczy, przy rozumowaniach socyologicznych zupełnie o nim zapominamy, a jeśli czasem odezwiemy się w jego imieniu, to tylko po to, ażeby powtórzyć sakramentalne zapewnienie, że mu zawsze i wszędzie dobrze. Taki ogólnik wystarcza dla dopełnienia obrazów socyologicznych pędzla szlacheckiego, ale niczego nie uczy i nieraz mylnym być może. Ponieważ chłop istnieje u nas w najrozmaitszych gatunkach ekonomicznych, dola więc jego pod wpływem tych lub innych zmian nie może być jednaką i powszechną formułą wyrazić się nie da. Na nieszczęście ów chłop we wszystkich swych rodzajach jest ciemny i położenia swego rzadko świadomy, obserwacyjna zaś luneta naszego widnokręgu społecznego ciągle zwraca się na dwory i żadnych zjawisk w chatach nie dostrzega. Dzięki temu, wiemy już dokładnie, co boli własność większą i średnią, ale jak się ma drobna — nawet nie przeczuwamy.

Jeżeli dzieci przysłuchują się obecnej wrzawie o spadek cen zboża, zastanawia je pewnie jeden szczegół: czemu ludzie tak utyskują, że chleb będzie tańszy? Takie zdziwienie dziecka miałoby swoją bardzo poważną stronę. Istotnie, czy może być coś bardziej charakterystycznego dla dzisiejszych stosunków ekonomicznych, nad ten lament! Jak to, wiece i dzienniki płaczą, że najważniejszy z artykułów życia spadł w cenie? Objaw dziwny! Rzeczywiście dziwny, a takim przestaje on być dopiero wtedy, gdy uprzytomnimy sobie całą sieć cudacznych wiązań społecznych i ekonomicznych, zmuszających nas do pożądania, ażeby funt chleba był o grosz lub dwa droższym. Społeczeństwo nakłada na siebie chętnie ciężki haracz, ażeby utrzymać przy życiu jakąś klasę ludzi, której chwilowo dla pewnych swoich celów potrzebuje i której upadek spowodowałby ruinę innych sfer. W te otchłanie sprzeczności i praktycznych względów nie powinna też nigdy zapuszczać się myśl teoretyzująca, logiczna, w wywodach swych niezłomna, bo spotka czasem konieczność jak bezsens dziwną, ale jak prawo nieuniknioną.

Może i dobrze mają się nasi chłopi, skoro agenci towarzystw emigracyjnych daremnie usiłują ich namówić do wychodźtwa. Jeden z tych oszustów niemieckich— jak donosi *Kuryer warsz.* — polował w Opatowskiem: „Objechał on w ciągu tygodnia kilkanaście wiosek i łamanym polskim językiem zachęcał włościan do emigracyi za Ocean, przedstawiając im złote góry.

— Za nędzne 200 marek, co będzie 100 rs., pojedzie każdy do Ameryki, tam dostanie grunt, konie, woły i narzędzia, a za parę lat zostanie bogatym farmerem — oznajmiał niemiec, plotąc niestworzone rzeczy.

Włościanie słuchali ciekawie tych niedorzeczności, i, o ile komunikującemu nam ten fakt wiadomo, nie znalazł w okolicy ani jednego amatora. Podobno Schlöder pojechał dalej w Radomskie szukać naiwnych. Wartoby na tego jegomościa zwrócić baczniejszą uwagę...“

Istotnie — wartoby. Dla nikogo system moralności ochronnej nie jest tak potrzebny, jak dla polskiego chłopa, który ma dużo oporu, ale czasem ciemna głowa go zawodzi.

A. C.

TYDZIEŃ POLITYCZNY.

Warszawa, d. 26 lutego.

Anglia wygląda obecnie jak Laokoon. Z jednej strony otacza ją swymi skrętami Mahdi, z drugiej daleko niebezpieczniejszy gen. Komarow. Do ostatnich dni wiadomości o posuwaniu się Rosyi ku bramom Indyj usiłowano nadać znaczenie „kaczki;“ dziś już owa kaczka wpłynęła na wody wszystkich dzienników europejskich i nabawia niepokoju John Bulla. Częścią z domyślności, a częścią z zebranych faktów wysnuto już rodowód owej najgroźniejszej obecnie chmury. Zebrała się ona po zjeździe skierniewickim, na którym Niemcy przyrzekły sąsiadce swobodę rozszerzenia się na wschodzie. Uwikłani w ciężką sprawę egipską anglicy rzeczywiście nie wiedzą, jaką mają przybrać minę. Podczas gdy *Standard* pisze, że „byłoby nierozsądnem zapoznawać trudności,“ a inne gazety przepowiadają klęskę, *Times* przypomina, że Anglia posiada „olbrzymie siły lądowe i wodne, których nikomu lekceważyć nie wolno.“ Jest w tem oświadczeniu dużo przechwałki. Anglia posiada wielkie siły, ale za małe do podołania zapasom w Egipcie i utrzymania postępów Rosyi w Azyi.

Z Egiptu chciałaby ona szczerze się wycofać. Już dzienniki i ministrowie przebąkują, że im chodzi tylko o pas północny kraju, że wyprawa na Chartum po śmierci Gordona byłaby „donkiszoteryą,“ a nawet wychyla się wstydliwie myśl rozpoczęcia z Mahdim „układów.“ Doraźnym rezultatem wszystkich kłopotów Anglii będzie to, że Gladstone, jeśli swych niepowodzeń nie zmaże jakimś śmiałym i szczęśliwym krokiem, musi ustąpić i ustąpi już na zawsze.

Mancini rozesłał okólnik do ambasadorów, że Włochy zamierzają wytrwać w przymierzu środkowo-europejskiem i nie naruszą praw sułtańskich w Afryce. Znana formuła dyplomatyczna, przypominająca zapewnienia chirurgów, że operacya ledwie chorego zaswędzi. Sułtan z „prawami“ zostanie, tylko ziemie straci.

Lwów. Sembratowicz mianowany został metropolitą, a Pełesz biskupem stanisławowskim obrządku wschodniego.

CUDZE GŁOSY.

PRASA ROSYJSKA.

Sowrem. Izwiestia piszą z powodu wysłania bisk. Hryniewieckiego.

„Z ultramontanizmem wogóle a tembardziej z ultramontanizmem polskim niema zgody. I nie powinno jej być. To wróg państwa rosyjskiego i rosyjskiej narodowości, wróg z zasady i w zasadzie. On nie może nie być wrogiem, będąc tem, czem jest, a papizm z istoty swej jest negacyą państwa; wszelkie stosunki z władzą państwową istnieją dlań tylko w postaci tymczasowego porozumienia, wymuszonego przez okoliczności, na które trzeba przystać, ale które obowiązek nakazuje zaniechać, jak tylko zdarzy się po temu możliwość. Takim jest papizm wszędzie; ale gdzie zespoli się on z narodowością, hołdującą separatyzmowi, tam staje się buntownikiem, spiskuje; jutro będzie święcił chorągwie, jeżeli tylko owieczki jego dobędą oręża przeciw legalnej władzy.

„Dlatego, naszem zdaniem, nie powinniśmy ograniczać się ani na takich luźnych środkach, jak zesłanie biskupa do gubernii rosyjskiej, w przypuszczeniu, że inny biskup na miejscu Hryniewieckiego będzie lepszy. Może będzie tylko oględniejszy, ale nic więcej. I dlatego trzeba przedsiębrać bardziej stanowcze środki przeciwdziałania. Nieuległy i zuchwały był biskup— wysłać go, bardzo dobrze, ale zarazem i zwinąć samą dyecezyę! A dalej, po co, za jakie zasługi dawać 2,000 rubli zuchwałemu arcyksiędzu? Został usunięty, zdegradować go na to, czem był, ignorując jego biskupią godność, która może ma znaczenie dla fantastycznych jego stronników, ale nie dla rządu rosyjskiego.“

Gołos Moskwy donosi w tej sprawie:

„Kiedy wyjeżdżał do Petersburga biskup, na dworcu kolejowym w Wilnie urządzona została demonstracya, niepozbawiona znaczenia politycznego. Pomimo nocnej pory, zgromadziły się tłumy gorliwych czcicieli i czcicielek tego nadętego prałata; spieszono ze wszech stron, aby odeń otrzymać błogosławieństwo i ze łzami w oczach całowano jego ręce, a sam biskup głośno mówił, że prawdopodobnie tylko przejedzie przez Petersburg.“

A dalej:

„Zesłanie biskupa Hryniewieckiego sprawiło silne wrażenie w katolickich sferach Petersburga. Sfery te niezmordowanie o tem mówią językami stutysięcznej niemal kolonii katolickiej, składającej się z różnych narodowości: polskiej, francuskiej, włoskiej, niemieckiej, angielskiej, szwedzkiej, a nawet chińskiej. Co zaś mówią synowie rzymskiego Kościoła — łatwo odgadnąć: treścią wszystkiego jest jedno słowo, jedno pojęcie: „męczennik!“ Nie tak atoli mówią o tem w sferach prawosławnych, albo protestanckich. Pewien pastor niemiecki w rozmowie z nami scharakteryzował biskupów katolickich jako awanturników karyery politycznej, z maską na twarzy i krzyżem w ręku.

„Każdy rosyanin, któryby znalazł się w polskiem kółku w Jarosławiu, podczas wizyty ks. Felińskiego, proszony był przez gospodarza domu, aby nie wszczynał rozmowy w języku rosyjskim, którego unikał warszawski *ex-biskup*. Rzecz prosta, że w takich warunkach, w kółku otaczającem tak ściśle ks. Felińskiego była już

tylko mowa o polityce, i już słyszałeś tylko co chwila to „moskiewskie barbarzyństwo,“ to „jeszcze Polska nie zginęła...“

Nowosti tak wyjaśniają usunięcie biskupa Hryniewieckiego:

„Od końca r. z. między jenerał-gubernatorem a biskupem panowało nieporozumienie w przedmiocie ułożenia listy duchowieństwa katolickiego w dyecezyi. Do listy tej wniesieni zostali dwaj duchowni, odłączeni przez biskupa od Kościoła wskutek zbytniej uległości względem rządu rosyjskiego. Biskup zatem rozesłał duchowieństwu 500 egz. listy z wykreślonemi nazwiskami tych dwóch kapłanów i z tą przy ich nazwiskach adnotacyą: „excommunicati Ecclesia. Episcopus Carolus.“ Dowiedziawszy się o tem generał Kochanow wysłał do biskupa urzędnika, żądając listy w ten sposób zmienionej. Biskup stanowczo odmówił i oświadczył, że zaniesie skargę do rządu. W dalszym ciągu tedy zaproponowano mu, aby wziął urlop i wyjechał za granicę dla poratowania nadwątlonego zdrowia. Na to odrzekł biskup, że ustąpi ze swego stanowiska tylko wobec przemocy.“

KRONIKA BIEŻĄCA.

Rozporządzenie. Gazeta *Żiźń* (według *Gazety polskiej*) donosi, iż w Mohylewie gubernialnym, administracya zabroniła używania języka polskiego w miejscach publicznych. Nadto wszyscy żydzi zmuszeni byli zobowiązać się piśmiennie, że pomiędzy sobą w stosunkach prywatnych nie będą wcale rozmawiali po polsku. Wykraczający przeciw temu rozporządzeniu podlegną karze pieniężnej.

Mianowania. Nekludow mianowany został oberprokuratorem ogólnego zebrania departamentów kasacyjnych.

Loże wolnomularskie Anglii i Francyi pokłóciły się. Francuscy masoni zażądali od angielskich usunięcia z konstytucyi wzmianki o bóstwie, na co książe Walii, jako wielki mistrz, zgodzić się nie chciał.

Do charakterystyki pojmowania samorządu. W gubernii włodzimierskiej włościanin, wybrany na t. z. starostę, (urząd honorowy) zrzekł się tego zaszczytu, a kiedy to nie pomogło, powiesił się z rozpaczy.

Szlachta rosyjska—według *Rus. Kur.*—z powodu setnej rocznicy nadania jej praw szczególnych, ma otrzymać nowe przywileje: 1) uwolnienie od obowiązkowej służby w wojsku (w szeregach); 2) odjęcie mieszczanom i włościanom możności nabywania szlachectwa przez urzędy, ordery itd.

Reforma. Szkoły miejskie i powiatowe w prowincyach nadbaltyckich mają być zamienione na rosyjskie.

Zapomoga. Skarb państwa wyznaczył 10,000 rs. tytułem zasiłku dla urządzenia działu przemysłowo rolniczego w tegorocznej wystawie inwentarza.

Odczyty. P. J. Brun wykładał publicznie na dochód biednych francuzów w Warszawie dość licznemu gronu słuchaczów o Sully Prudhomme. Była to lekka pogadanka, która, zwłaszcza po odczytach Brandesa, raziła nieco swą powierzchownością. Proste komentarze do utworów poety już dziś nie wystarczają.

Pamiętniki Ludwiki Michel, odsiadującej jeszcze karę w więzieniu St. Lazare, wychodzić zaczną wkrótce nakładem księgarni Roy. Powieściopisarz Barot, który był pośrednikiem między autorką a wydawcą, podjął się ogładzenia stylu i przygotowania rękopisu do druku.

Bibliografia polska. Siarkowski ks. Wład.: *Materyały do etnografii ludu polskiego z okolic Pinczowa.* Kraków.

— Skrodzki Stan.: *Porządek prawa bartnego dla starostwa łomżyńskiego* z r. 1616 (opracował Ad. Ant. Kryński) Kraków.

— Ostrożyński Wład: *O odpowiedzialności państwa za bezprawne działania urzędników wedle prawa publicznego.* Lwów.

— Wolff Józef: *Senatorowie i dygnitarze W. ks. litewskiego od r. 1386 do 1795.* Kraków.

— Dr. Jan Niemiec, polak rodem ze Szląska, preparator w laboratoryum prof. Folla w Genewie, uzyskał w konkursie z zapisu Davy'ego najwyższą nagrodę za rozprawę p. t. *System nerwowy soliterów.*

Przegląd literacki i artystyczny, wydawany przez K. Bartoszewicza w Krakowie, uzyskał debit w granicach Królestwa polskiego.

Opera komiczna p. t. *Fortunato* Adolfa Mohra z tekstem Rudolfa Eicho ukazała się w tych dniach na scenie w Hamburgu. Krytyka wyraża się o nowem dziele nader pochlebnie. Muzyka, acz popularna, daleką ma być od trywialności.

— **Wystawa** dzieł sztuki i szkiców na dochód wdowy po Redlichu zostanie otwartą stanowczo dnia 1 marca we Lwowie. *Koło literacko-artystyczne*, zajmujące się jej urządzeniem, ogłasza, że część prac już nadeszła, inne zaś zapowiedziane znajdują się w drodze, a przyrzeczony współudział najwybitniejszych polskich artystów rokuje powodzenie. Nadesłali już lub zapowiedzieli prace swe: Grabowski, Kossak, Tepa, Rodakowski, Gerson, Malczewski, Styka, Piotrowski, Stachiewicz, Barącz, Markoni i inni. *Koło* zaprasza jeszcze do dalszego nadsyłania prac.

Śpiewnik pieśni rusińskich p. t. *Bojan*, staraniem ks. Wiktora Matiuka i Maksyma Kopko ułożony i zebrany, ukaże się w r. b.

W Princess Theater w Londynie ma być przedstawiony wkrótce pozostały po Bulwerze dramat p. t. *Junius Brutus.*

Zmarli. Józef Chełmicki w San Remo. Jestto strata nietylko rodzinna. Zmarły bowiem należał do nielicznych u nas ziemian, przenikniętych szczerą miłością dla postępu i pożytecznie czynnych w literaturze. Jako współpracownik *Korespondenta Płockiego* i autor powiastek, ujawniał ciągle tę miłość, łącząc ją z wiarą we wszechmoc wiedzy i z nadzieją, że ta potęga i u nas jak wszędzie stanie się dźwignią życia narodu. Zgon takich ludzi jest zawsze dla społeczeństwa ubytkiem dotkliwym, zwłaszcza gdy z rozumem łączą oni, jak Chełmicki, zacne uczucia.

— Ludwik Godard, słynny aeronauta, w Paryżu.

— Ludwik Berkes, kierownik najsłynniejszej kapeli cygańskiej, w Peszcie.

— Misza Anastazijewicz, major serbski, w Bukareszcie. Zasługuje na uwagę, posiadając bowiem milionowy majątek, nie szczędził go na cele narodowe. Między innemi wystawił w Belgradzie kosztem 1,240,000 franków gmach dla akademii i biblioteki narodowej serbskiej i wraz z licznymi zbiorami darował go narodowi.

— Wiktor Zienkowicz, inżynier, żołnierz b. wojsk polskich z r. 1831, w Turynie.

— Leszek Sznaufert, skromny pracownik w warsztatach kolei Karola Ludwika we Lwowie, dawniej właściciel fabryki machin w Jarosławiu. Po licznych przejściach osiadł we Lwowie i tu znany był w szerokich kołach jako *Onufry z Bajek*; pod tym pseudonimem bowiem pisywał poezye, pełne dowcipu i sarkazmem zaprawionego poglądu na stosunki galicyjskie a w szczególności lwowskie. Zasilał czasopisma humorystyczne: *Szczutek* i *Dyabeł* swymi artykułami, wydał też osobny zbiorek p. t. *Poezye Onufrego z Bajek.*

ODPOWIEDZI REDAKCYI.

Ign. Przypuśćmy, że owa szafarka składek publicznych jest rzeczywiście tej wartości moralnej, którą Pan jej nadaje: kto weźmie na siebie odpowiedzialność oskarżenia bez innych dowodów, prócz bezimiennego listu? Powtarzamy, że na kontrolę (najlepiej wzajemną) wszystkich redakcyj w rozdawnictwie ofiar publicznych zgadzamy się, ale projekt delegacyi z prenumeratorów uważamy za niemożliwy.

Br. Kw. Przypomnieliśmy: jest lepszy słownik rosyjsko-polski Potockiego, wydany w Lipsku. Stenogr. nie znamy. Szurum-burum owego „obywatela“ wcale nas nie dziwi. Dłuższy zawód redaktorski przyzwyczai każdego do tych głosów, niedących pod niebiosy. Gdybyś też Pan wiedział, ile my odbieramy listów od waryatów, napastników, potwarców, od tych zuchów, co to strzelają z za płota lub wlazłszy na gruszkę sieją pietruszkę! Ale to trudno! Kto prędko jedzie, temu z pod kół błoto pryska!

Władysławowi. Bez wartości. Odesłano.

M. G. w R. Odczyty Brandesa o literaturze francuskiej znajdzie Pan w jego książce zapowiedzianej przez Spółkę Nakładową.

Sprostowanie: W nr. 7 *Prawdy* w artykule „Straty i korzyści ekonomiczne“ w 3-ej szpalcie, zam. „Lecz gdy się widzi następstwa nowej ustawy *celnej*,“ powinno być „stemplowej.“ Tytuł książki Dr. T. Rutowskiego jest dokładnie *W sprawie przemysłu krajowego.*

Szan. abonentów w Warszawie i na prowincyi upraszamy o natychmiastowe doniesienie nam o każdem opóźnieniu lub nieodbiorze PRAWDY. Pismo nasze wysyłane jest w Warszawie w sobotę i niedzielę każdego tygodnia, na pocztę zaś — w sobotę.

Prenumeratorzy „PRAWDY“ otrzymują przy końcu każdego kwartału dodatek bezpłatny, składający się z sześciu arkuszy druku.

Druk K. Kowalewskiego, ulica Królewska Nr. 23. Дозволено Цензурою. Варшава, 15 Февраля 1885 г. Redaktor i Wydawca, dr. fil. A. Świętochowski.